

# PRZEGLĄD WILEŃSKI.

## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY: w Wilnie		REDAKCJA i ADMINISTRACJA	CENY OGŁOSZEŃ:
Rocznie - - - - -	6.	Ś. Jerska 15 m. 26	Przed tekstem za wiersz petitu - - - 50 k
Półrocznie - - - - -	3.		W tekście (nadesłane) - - - - - 1 rb
Kwartalnie - - - - -	1.50	Otwarte codziennie prócz świąt od godziny 11 do 3 i od 5 do 7.	Po tekście - - - - - 20 k
Miesięcznie - - - - -	50	Skrzynka pocztowa № 52	
Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu			Numer pojedynczy 15 kop.
Rocznie - - - - -	7.—		
Półrocznie - - - - -	3.50		
Kwartalnie - - - - -	1.75		
Miesięcznie - - - - -	60		

## Nasz związek z Zachodem.

Sprawie tej poświęcił kilka artykułów wychodzący w Warszawie „Tygodnik Polski“. W piśmie owym p. Kazimierz Woźnicki, kierownik polskiego biura prasowego w Paryżu, zwrócił uwagę na konieczność świadomego rozwinięcia starań, by ożywić nasze stosunki kulturalne z Zachodem, a zwłaszcza — by wyzyskać odradzające się sympatie francuzów dla nas, celem mocniejszego przypomnienia się Europie. Po p. Woźnickim zabrał z kolei głos p. Gustaw Simon, który wskazał pewne trudności podjętego zadania. Podkreślił on mianowicie fakt obojętności, a nawet niechęci, ujawnianych w Królestwie, względem prób nawiązywania i wskrzeszania nici spółzycia z krajami Zachodu.

...„Przeszkody — powiada on — stawiane wszelkiej akcji na tem polu, posiadają przyczyny znacznie głębsze, aniżeli te, które przez prasę naszą i publicystykę zwykle wysuwane bywają. Mówi się w tych wypadkach o konieczności skupienia całej energii na pracę w kraju, o licznych zawodach, doznanych ze strony ludów i państw zachodnich, wskrzesza się oczywiście marę napoleońską, podkreśla egoizm Europy, a bardziej jeszcze ujemne cechy jej życia społecznego — i w ten sposób tamuje się wysiłki, zmierzające nie do roztkliwiania nieczułych serc synów Zachodu nad nieszczęsnym losem naszym, lecz do wydobycia na jaw i do rozwoju tych, bądź co bądź, żywych jeszcze węzłów, jakie w mniejszym lub większym stopniu we wszystkich dziedzinach życia Polskę organicznie z Zachodem łączą.

„Istota niechęci i obojętności, przeciwstawianej tego rodzaju wysiłkom, tkwi w tem, iż w narodzie naszym, a zwłaszcza w niektórych wpływowych jego sferach, ztraca się coraz bardziej poczucie nieocenionego skarbu, jakim jest Związek z Zachodem, ztraca się zrozumienie wagi tego faktu, zrozumienie jego znaczenia i jego skutków“.

Jeżeli zjawisko to stało się już widoczne w Królestwie, to co powiedzieć o Litwie?

Wprawdzie tutejszy ogół inteligencji polskiej nie przestaje szczyć się swą „kulturą zachodnią“;

wprawdzie chlubi się stale rolą przerośnika wpływów łacińskich — ale równocześnie ci sami pionierzy cywilizacji, ścierającej się na naszym gruncie z idącym od Wschodu bizantyzmem — odżegnywają się od wszystkiego, co Europy spóczesność charakteryzuje. „Zgnili Zachód“ — to nie tylko zabawny termin obskurantyzmu; to wyraz istotnie odczuwanej niechęci względem ogromnej masy przejawów ewolucji socjalnej, która częściowo rozwój nasz wyprzedza, a częściowo nie odpowiada interesowi żywiołów, tradycyjnie polskość tu reprezentujących.

Przedstawicielom tych to właśnie elementów zdaje się, iż wystarcza stale przypominać Litwie i Białej Rusi, że im się w wieku XIV zaszczyliło katolicyzm rzymski, by już po wsze czasy korzystać ze stanowiska agentów bardziej europejskiej Europy. W rezultacie dziś dochodzi już do tego, iż duch kultury łacińskiej identyfikuje się ze wstecznictwem społecznym, jako też z wyniosłym, pogardliwym traktowaniem hasel reformatorskich, wznoszonych na użytek... „motłochu“. Szary nasz ogół nie wie i woli nie wiedzieć, że kultura zachodnia — ta właśnie, którą on wciąż jeszcze chce reprezentować — strasznie daleko odbiegła od tradycji XIV stulecia; że to, co w niej uważa za sporadyczne symptomy Zgnilizny, bywa często przejawem zdrowia i postępu; że nie co innego, jeno właśnie duch kultury łacińskiej, zwaliwszy (u nas jeszcze żywotne) przywileje kastowe, drwi z zatechłych przesądów arystokratycznych, nobilituje masy, kwestjonuje świętość własności prywatnej, do wierzeń wnosi odczynniki sceptycyzmu, rozluźnia małżeństwo, uspołecznia kapitał i pracę, czyni z wychowania młodego pokolenia funkcję publiczną etc., etc. Słowem z coraz śmielszymi występuje zamachami przeciw krzepnącym zwyczajom i tradycjom patriarcalnym.

Dzisiejsza kultura łacińska, zachodnio-europejska — to już zgoła nie kultura szlachecka. Przeciwnie — wgryza się w nią coraz głębiej duch krańcowego demokratyzmu, żądający od wszystkich instytucji państwowych, narodowych, społecznych uwzględniania przedewszystkiem interesów tłumu, ludu pracującego, bez względu na korzyści, czy straty warstw „przodujących“.

Ogół nasz — powtarzam — sprawy sobie z tego zgoła nie zdaje. Można by nawet powiedzieć, że przeważnie jest on wręcz przeciwnego mniemania. Wszelkie hasła „rozkładowe“, „wywrotowe“ gotów jest przypisywać „barbarji wschodniej“, ile że Litwa słyszy je niemal wyłącznie, głoszone przez postępców i radykałów rosyjskich. Dodać przytem należy, iż w interpretacji tych działaczy hasła owe, przeważnie teoretyzowane, sukcesorom średniowiecznych zasług wprost dziękami się wydają. Tem łacniej uważają je tylko za echa wrzasku zagonów tatarskich.

To ich pociesza, pozwala dalej spać spokojnie i wciąż wmawiać sobie przez sen misję kulturalną, misję przodowników Zachodu.

A Zachód tymczasem gada z krajem, przodowników tych omijając zupełnie. To, że w wieku XIV przedstawicielami jego byli — zapomniat. Dziś innych znajduje agentów. Już nie w środowisku polskim — w kółkach rosyjskiej młodzieży uniwersyteckiej pobudzili się do czynu tutejsi działacze demokratyczni, ludowi, pracownicy typu europejskiego w sensie nowoczesnym. Głosząc zapowiedź odrodzenia Litwie i Białejrusi, odwracają się od tradycyjnych pionierów kultury i postępu — odwracają się od Polski. Stara im się wydaje, zgrzybiała, do muzeów zdalna jedynie. To, że w Warszawie, Krakowie jest, żyje, rozwija się Polska młoda, Polska ludowa — nie bardzo nawet wiedzą. Że postęp jej, demokratyzm, istotniejsze są i głębsze, niż broszurkowy radykalizm wschodni — nie wierzą.

Lud tutejszy miał kontakt z polskością przez szlachtę; z polskim ludem się nie znał prawie i dotąd go nie zna. Nie wie, że tam, wśród owego właśnie ludu są jego wzory najbliższe i najzdrowsze kultury zachodniej, kultury płodnej w przyszłość.

Lecz tego nikt mu nie powie, nikt nie wskaże.

Działacze narodowi (litewscy i białoruscy) boją się wpływów polskich; a szlachta, a inteligencja polska?

Dla pierwszej — już Królestwo jest gnijącym Zachodem. Nawet partie polityczne oglądać się tam muszą na plebs, własnych komendantów mający. Po miastach — proletarjat strejkujący, buńczuczny; po wsiach „zaraniarze“...

Co się zaś tyczy inteligencji polskiej, to zdobyć

się ona nie umie na żaden określony kierunek działania — wobec tego, że w znacznej części nie odróżniła się dostatecznie od sfery szlachecko-ziemiańskiej, w części zaś podlega mnogim, sprzecznym wpływom idejowym.

Tak więc w rezultacie dziś nie Zachód bezpośrednio daje krajowi temu motory i sztandary postępu. Otrzymuje on je skądinąd: echa Zachodu *via* Wschód tu przychodzą, długą, okrężną skoszlawioną drogą. Przeciw nim zaś występuje żywioł polski w swojej części najbardziej wpływowej, najbardziej przeświadczony o swej misji — z łańciska cywilizacyjnej; występuje zarówno przeciw skoszlawieniu, jako też istocie kierunku.

I tak to wpływ polski, wpływ zachodni na Litwę w ideologii szlacheckiej tonie.

B. H.

## Po wyborach belgijskich.

### IX.

Szkoły średnie katolickie (Collèges) liczą 16,538 uczniów, świeckie (Athenées) — 6028 uczniów. Szkoły średnie, prowadzone przez „Braci Szkół Chrześcijańskich“ — dziesięć tysięcy uczniów. Uniwersytet katolicki w Lowanium (Louvain) liczy 2500 studentów (trzy pozostałe uniwersytety belgijskie razem 4 tys. studentów).

Na kongresie katolickim 1910 r. przedstawiono raport „Braci Chrześcijańskich“, który ujawnił następujący obraz działalności jawnej tylko tego zakonu w dziedzinie szkolnictwa. Zakon ten utrzymywał:

106 szkół elementarnych	23023 uczniów.
4 szkoły niedzielne	251 „
4 „ szkoły dla dorosłych	1036 „
4 „ rysunkowe	429 „
0 „ średnich	1473 „
20 sekcji humanistycznych	2387 „
12 szkoły normalne element.	295 „

G. DANIŁOWSKI.

4)

## Marja Magdalena.

FRAGMENT.

Debora doznawała zawrotu głowy z zachwyty, przymykała oczy i ścisnęła do bólu przeklute ucho, by uśmierzyć kołatanie krwi.

— Czas wstawać, upał być musi... zasnęłam się strasznie — gwarzyła Marja i po dłuższej chwili mętnego zamyślenia, ociężałym ruchem przekreśliła się twarzą do poduszki, tonąc w puszystych włosach, które się rozsypywały, jak rozwiązany snop po karku, plecach, ramionach i krawędziach posłania.

— Zbierz to — wyrzekła.

Czarne, wprawne palce niewolnicy zanurzyły się w jasnej łunie, rozplątując loki: zręcznie rozprostowując jak z czerwonej miedzi skręcone pierścienie. Rozczesane pasma ułożyły się wkrótce w jeden płomienny potok, który mieniając się złotem i czerwienią mahoni, płynął po ciele i zdawał się pałać w jego rozkoszy.

Potok ten Debora rozdzieliła ręką na dwa strumienie i jąła związać w warkocze.

— Czy jeszcze pachną?

— Oduurzająco! Debora zanurzyła twarz w jedwabiste sploty i oszolomiona, jak nieprzytomna, zaczęła je całować, a potem gorącemi jak lak ustami przywarła do białych pleców...

— No! — kuląc mleczne ramiona, broniła się kapryśnie Marja — łaskoczesz mnie, czarna, — zachichotała i drobną nóżką jąła żartobliwie odpychać rozognioną służebnicę, trafiła stopą na wzdęte piersi i zawołała wesolo:

— Ależes tuszystal jak tykwy, zdradzasz mnie już pewno, gadaj z kim? — I usadowiła ją przy sobie, obejmując kształtnem ramieniem, które aż lśniło od białości na brunatnej skórze Egipcjanki.

— Ja panią? Zaprzeczyła ze szczerem przerażeniem w rozszerzonych, czarnych jak ziarnka kawy żrenicach.

— Dlaczego! Spróbuj! Nie jeden już mnie rozpytywał o ciebie, idziesz w lata, piersista jesteś, tęga w sobie, a giętka w nogach — chętnie cię wezmą, dobrze zapłacą, wywianują cię, idź w świat!..

— Nigdy!

1 sekcja „ średnia	35	„
7 szkół rzemieślniczych św. Łukasza	2600	„
4 szkoły przemysłowe	822	„
1 szkoła średnia rolnicza	55	„
1 „ ogrodnicza	25	„
2 „ średnie handlowe	45	„
Ogółem . . .	32,476	„

Tyle czyni jedna tylko korporacja! A tych kongregacji jest mnóstwo! Z roku na rok więcej. Statystyka kościelna (Annuaire du Oergé) wykazuje 2437 kleryków — cyfra stanowczo zbyt niska: w r. 1900 statystyka urzędowa policzyła ich 2474, odtąd przybyło wiele bardzo klasztorów zamkniętych we Francji.

A mianowicie:

Prowincja Antwerpja	liczy klasztorów	279
„ Brabancja		458
„ Flandrja zachodnia		423
„ „ wschodnia		412
„ Hainant		332
„ Liège		169
„ Limburg		100
„ Lukemburg		75
„ Nemur		189

Ogółem 2437 klasztorów wobec 2629 gmin belgijskich.

W r. 1883 było 29 seminarjów państwowych dla nauczycieli; pozostało z tej liczby w r. 1910—13. W r. 1880 było jedno seminarjum katolickie, w r. 1911—było ich 41.

3316 nauczycielom i nauczycielkom szkół rządowych zmniejszono pensję; 1047 otrzymało dymisję; zamknięto 228 szkółek freblowskich, 877 szkół elementarnych, 1079 — szkół dla dorosłych; w dwudziestu gminach zamknięto jedyną szkołę; jaka w nich istniała. Zniesiono posadę nauczycielki szycia w 800 szkołach (na rzecz klasztorów), oddano 442 siostrze nadzór nad szkołami gminnymi, nawet dla chłopców; mianowano nauczycielami elementarnymi 2632 osób, nie posiadających

dypłomów (w szkołach adoptowanych i subsydjowanych). Nauczanie w szkołach gminnych powierzone 11 tys. kongreganistom płci obojga.

Szkoły średnie opłacają same wydatki swoje. Szkoły elementarne i wyższe pochłaniają rocznie siedm milionów franków, pokrywanych przeważnie ze źródeł dobroczynności katolickiej. Dobroczynność ta, jak widzimy, nadzwyczajnie żywa i ofiarna, nie może wystarczyć. Przychodzi z pomocą rząd w budżecie stałym i nadzwyczajnym, jawnym i dyskrecjonalnym. Według obliczeń Ligi Nauczania (instytucja liberalna) szkoły katolickie otrzymały od r. 1884 powyżej dwustu milionów franków zapomóg państwowych pod różnemi tytułami.

Klerykali dźwignęli w małej Belgji, w szczególności we Flandrjach pięć tysięcy związków włościańskich (Boerenbond) (w r. 1903 — 21 tys. czł., 1910—42 tys. członków). Na czele związku jest zwykle ksiądz \*). Stowarzyszenie jest w istocie swojej gospodarcze, owiane jest jednak duchem religijnym. Zgromadzenie rozpoczyna się zawsze od odprawienia mszy. „Członkowie obowiązani są codziennie do odmówienia jednego Ave Maria i jednej litanji do Matki Boskiej z prośbą o opiekę nad rolnictwem“ — czytamy w sprawozdaniu zasłużonego organizatora klerykalnego Nuyens'a. Niema dziś w Belgji parafji, w którejby nie było związku chłopskiego. Zakupy (węgiel, nawozy, pasza), czynione przez członków tych stowarzyszeń czynią rocznie w oszczędnościach trzy miliony franków. Stowarzyszenia kredytowe (1909 r. 618, według systemu Raiffeisena) obracają milionami (1910 r. — 36 milj. obrotu). Masłarnie związkowe (506) sprzedają rocznie masła za 33 miliony franków (1908), stowarzyszenia kontroli inwentarza podniosły zarobek niezamożnych włościan

\*) Sekretarzem generalnym „Boerenbond'u“ jest ksiądz kanonik Luytgaerens. Siedlisko sekretarjatu w Louvain. Przy sekretarjacie zorganizowano: Biuro informacyjne, Radę inżynierów rolnych, Organizację odczytową, Biuro porady prawnej, Biuro prasowe, rozsyłające członkom za cenę jednego franka rocznie pismo „De Boer“ (40 tys. egz.), albo „Le Paysan“ (2500 egz.)

— No, powiedzcie, takaś przywiązana, za co? Czyż dobra jestem? Pamiętasz, jakem cię wybiła sandałem, a tu — wskazała na ramieniu centkę — masz jeszcze znaki od mojej szpilki...

A Debora podniosła do ust rozranione miejsce i, całując je mocno raz po raz, mówiła w przerwach: bij mnie, szarp, depcz, męcz do krwi — ja chcę, ja lubię...

— Lubisz — zamyśliła się Marja — dziwne, ja także trochę; nie wiedziałam, ale kiedyś gdy jurny Katullus, gdy go rozdroczyła od szału, jął mnie smagać własnym warkoczem, z początku czułam ból, a potem zesłabłam, każde uderzenie rozjątrzało mnie niezwykle, jak obręcze paliły mnie kręgi, ugryzłam go wtedy do krwi — słona i lepka...

Miło jest podręczyć się z chłopcami, od tego są te bestje — ale nad tobą się pastwić! Sama się staniesz pastwą ich mocy końskiej i brutalnych uści-sków.

Debora tymczasem garnęła się całym ciałem do Marji, spoiła się z nią piersiami i usiłowała powalić, ale Marja zerwała się nagle, wyprostowała się jak trzcina, wyciągnawszy w górę ręce, przegięła się

prężnie w tył, a potem podała się naprzód opuszczając dłonie na czarne ramiona.

Niewolnica objęła panią w pachach, nie zwalnając uścisku, zsuwała się niżej i niżej, całując namiętnie jej szyję, piersi, biodra, wreszcie upadła na kolana i nieprzytomna z roskoszy błędziła dalej ustami...

Po białem ciele Marji przebiegł widoczny drobny dreszcz, wzdrygnęła się febrycznie, ścisnęła kolana i gwałtem zatapiając palce w grube włosy służebnicy, oderwała jej głowę...

Odciągnięta w tył twarz Debory wyglądała jak czarna maska. W tragicznie skrzywionych wargach błyskały dziko ostre zęby odsłonięte po kły, w zawróconych jak ślepych białkach oczu lśniły wielkie łzy.

— Strasznaś jest Astarte — szepnęła z trwogą Marja, a potem zdjęta litością położyła jej na ustach swą odwróconą dłoń. Debora chciwie piła jej ciepło, zastaniała się i zwała się do nóg Marji z głuchym jękiem.

— Debora, Debora — cuciała ją Marja, trącąc nogą ciemne, spazmatycznie drgające ciało. Niewolnica chwilę leżała, jak martwa, wreszcie

o kilkaset franków rocznie. Stowarzyszenia, ubezpieczające inwentarz, odbierają polis rocznie za cenę 100 milionów franków. Rolnictwo rozwija się w tych warunkach nadzwyczajnie, przynosi olbrzymie dochody, odłuzenie własności również zmniejsza się. Chłop flamandzki uczęszcza na wykłady rolnicze, uczy się, czyta gazety rolnicze, poznaje nowe metody rolnicze — zawdzięcza to wszystko *związkom wolnym*. Zawsze był pobożnym, oddanym kościołowi katolickiemu. Dzięki kooperatywie ma wiele tytułów materialnej natury, aby wiarę w sobie utwalić, umocnić. Oczywiście, że głosuje za kandydatem, którego duchowny przewodnik kooperatywy, którego gazeta klerykalna wskazuje. Niema siły, któraby go z tej drogi w danej chwili sprowadzić mogła. Belgja rolnicza jest fortecą klerykalizmu.

Klasztor jest kolosalnym magnesem dóbr materialnych. Przysłowie flamandzkie mówi, że „wszystko do klasztoru wchodzi, ale nic nie wychodzi z klasztoru, prócz dymu z komina“. Klasztor przyjmuje wszystko: dary bogaczy, miliony grzeszników i grosze wdowie. Przyjmuje odzież noszoną i resztki ze stołu pańskiego. Karmi nędzarzy temi okruchami. Dzieci ich uczy pracować w warsztatach, szwalniach, uczy je w szkołach ogólnych, uczy rzemiosł w szkołach ślusarskich, koronkarskich. Nie płaci nic za pracę. Sprzedaje tej pracy owoce. Może tedy sprzedawać po cenach poniżej wszelkiej konkurencji — jest największym i niebezpiecznym współzawodnikiem. Współzawodniczy z wolną pracą robotniczą na równi z pracą więzienną. Skarżą się robotnicy belgijscy, że praca klasztorna niszczy, podminowuje wolne zawody praczek, szwaczek. Po miejscowościach kąpielowych klasztor zakłada hotele i garkuchnie. Wyrabia piwo, likiery, czekoladę, — które w olbrzymich ilościach wyrzuca na rynek, normując ceny i pobijając współzawodników, którzy płacić muszą robotnikom według normy cennikowej, przebywać i przegrywać strejki, ponosić ciężary handlowe, ryzyko.

Zakonnicy prowadzą życie skromne. Gromadzą kapitały, rozszerzają przedsiębiorstwa. Klasztor zajmuje mały domek, po paru latach przyby-

ły piętra na parterowej kamienicy, przybywa parę skrzydeł. Po latach olbrzymi czworobok domów murowanych otacza siedlisko klasztorne, jego zakłady przemysłowe i wychowawcze. Klasztor zakłada filje klasztoru, filje fabryki. Uprawia ekspansję kolonialną. Posiada własne plantacje w siedliskach misyjnych. W roku 1889 było klasztorów (powyżej) 2,124; żyło w nich 32,461 zakonników i zakonnice. Dziś liczą klasztorów 4,135 o zaludnieniu 85,744 osób duchownych. Po uchwaleniu ustaw francuskich o rozdziale kościoła i państwa, w ciągu jednego roku emigrowało z Francji do Belgji — 500 klasztorów i 6,000 zakonników. Własność ziemska klasztorów obliczona jest w Belgji na siedemset milionów franków. Własność ruchoma obliczana jest na trzy miljardy. Nigdy nie będzie dokładnie wiadoma. Rząd belgijski niechętnie udziela naturalizacji imigrantom; jedyny wyjątek czyni dla zakonników. Klasztor francuski, osiedlający się w Belgji, po kilku miesiącach posiada już indygenat, przybysze udzielają nauki w szkołach i szkółkach na równi z miejscowymi siłami zakonnymi. Cała niemal opieka nad umysłowo choremi spoczywa w Belgji w rękach klasztorów. Trzy czwarte szkół koronkarskich (jest ich ogółem 160) prowadzonych jest przez mnichów. Płaca robocza wynosi 2, 5—18 cent. za godzinę. Żaden pracobierca, nędzny sługa szatana, nie ośmieliłby się wyzyskiwać w ten sposób robotników swoich, pod groźbą nie tylko strejków, ale i kary Nieba. Obecnie klasztory prowadzą i szlifiernie djamentów, stając do współzawodnictwa z szlifierzami Antwerpji. Przemysł najdroższy i najtańszy, artykuły *zbytku*, zwalczanego z kazałnicami, wyklętego przez kościół ustami najmędrszych i najuczestniejszych Ojców kościoła i męczenników: koronki, djamenty, likiery — jest przedmiotem handlu i spekulacji w rękach niezmordowanych pracowników klasztornych, o których mówiono nieraz z okazji procesów sądowych z tytułu wyzysku nieletnich robotnic wynikłych, — że służąc Chrystusowi w niedzielę, w poniedziałki i inne dni tygodnia wielbicielami są Mammona.

Cała ta działalność pomyślana przezornie, na znajomości psychologii człowieczej oparta, mister-

dźwigając się na rękach powstała, zasłaniając twarz i oczy.

— Czemuś jak żelazo, a palisz się łatwiej niż słoma, oszczędzaj się, lubieżnico, bo prędko ustanieś, — strofowała ją surowo Marja — no, nie wstydz się i kończ włosy — dodała łagodniej.

Debora jeszcze mocno drżącymi palcami ją uktadać wysoko kędziory na sposób grecki, postępując się jako wardowa z równą zręcznością obu rękami; pracowała dość długo, gdyż Marja miała moc wicherów upartych, a nie lubiła nosić wielu zawiązków, wołała też zamiast przepaski, jedną ze złotych drucików siatkę.

Gdy skończyła, Marja stanęła przed kosztownym, owalnym z polerowanej miedzi zwierciadłem i zapatrzyła się we własne odbicie. W wysokim uczesaniu, jak w złotym hełmie wyglądała istotnie wspaniale, podobna do marmurowego posągu bogini zwycięstwa. Przyglądała się sobie długo i z upodobaniem, wreszcie tryumfujący, zalotny uśmiech rozchylił jej pełne niedomykające się nigdy szczelnie wargi, odsłaniając drobne, równe jak sznur perełek zęby.

— Zmarszczkę mam, zmarszczkę! — Udawała

przestrach, wskazując Debora cudowną rysę wokoło postawnej szyi, — a tu ciemną centkę — biadała nad ślicznym groszkiem, kryjącym się w złotym błamie pod lewym ramieniem.

Spojrzała na piersi i widząc zlekka nabrzmiałe różowe pączki, zawołała figlarnie.

— Nie zrywać się, gołąbki, bo dostaniecie po dziobkach? — trąciła je palcami, aż obie zadrgały sprężyscie...

Tymczasem Debora zaprawiała wodę olejkiem kefarowym, ale Marja nie chciała się kąpać, kazała tylko oblać się i wytrzeć do sucha szorstką tkaniną; podczas tej czynności Debora opowiadała co się gdzie stało, kto się o nią dowiadywał, zawiadomiła też o przysłanym prezencie młodego Netejrosa, syna bogatego Somiusa.

Był to bronzowy świecznik, wyobrażający stojącą na rękach tanecznice. Rozwieszono nieprzystojnie nogi służyły jako wstawki, a w środku znajdowała się lampka. Marja śmiała się z tego dowcipnego pomysłu podziwiając istotnie misterną robotę snycerza.

(c. d. n.)

nie, wytrwale i uczciwie, z uwagą skierowaną na zysk chłopski zwróconą wykonana — rozwija się raźnie i kwitnie w atmosferze opieki życzliwej i twórczej rządu konstytucyjnego. Zapładniają tę działalność miliony budżetowe z funduszy jawnych i dyskrecjonalnych. Co nierównie ważniejsza: cała administracja państwowa jest na usługi tych organizacji oddana. Robotnik, dobrze widziany na plebanji, otrzyma zawsze w porę emeryturę robotniczą i jego domek z łatwością będzie wolny od podatku gruntowego. Nie płaci podatku od roweru. Jego chłopiec nie pójdzie do wojska. Co najważniejsza, będzie zawsze rozporządzał trzema głosami jako wyborca. Prawa pisane są jedne dla wszystkich bez wyjątku. Jednak sposób biurokratyczny, jak wiadomo, najlepsze ustawy na nic sprowadza, najlepsze zamierzenia prawodawcze giną w gęstych sieciach administracyjnej interpretacji i korespondencji a także wolności urzędniczej. Od tych wszystkich korektów administracji do litery prawa uwalnia chłopca i robotnika miłująca ręka opiekuna w sutannie. Przed nią kapituluje biurokracja tak, jak kapituje przed każdym rządem. Kapituje w Belgji od lat trzydziestu przed rządem klerykalizmu. Dlaczego tedy chłop czy robotnik, o umysłach urobionych w szkole wyznaniowej, mieliby się oprzeć potędze opiekuńczej kościoła w zakresie spraw społecznych, bytu, chleba powszedniego? Książd mu tylko dobrze czyni, zarabia więcej, korzysta z tysiąca ułatwień. Dodać należy jeszcze siłę protekcji klerykalnej, gdy chodzi o posadę rządową: na kole, na poczcie, o tysiące tysięcy posad, które stwarza współczesna organizacja państwowo-gospodarcza.

Stanisław Posner.

## Nastroje Zachodu.

(Dokończenie).

Czy młodzież, ten barometr społeczny, pokazuje prawdziwe ciśnienie uczuć? Ogół francuski nie jest tak jednolity. Z jednej strony daje się spostrzegać obawa przed wojną rentierów i kapitalistów, psychologja bogatego narodu, który chce korzystać w spokoju ze swych skarbów, z drugiej zaś konsekwentny kosmopolityzm grup skrajnie lewych. Słowa niemieckiego socjalisty Ledeboura: „Człowiek, który nie kocha swego kraju jest lajdakiem“, nie rozległyby się nigdy z podobnych ust we Francji. Ale jednak ciż sami epizjerzy wpuścili na giełdę paryską wszelkie egzotyczne świstki wątpliwej wartości, a zamknęli ją zupełnie przed papierami niemieckimi; ciż sami socjaliści uchwalają coraz większe kredyty na cele wojenne. Może być, że w parlamencie angielskim lub niemieckim dzieje się to szczerzej, bez szykan; być może, iż w pałacu Burbonów słyszy się zbyt dużo stanów na eksport; że tam więcej mówią mężowie stanu a tutaj ulica, lecz zważmy, że to dzieje się w ojczyźnie rewolucji. Gdy jednak zapoznamy się ze światem przemysłowców, rolników, których jest 50 proc. we Francji, gdy zbadamy nastroje prowincji, a zwłaszcza kolonji, gdzie wre zawzięta, gorączkowa praca z wiarą w wielką Francję, gdy zajrzemy do szkół i pracowni wojskowych, gdzie wyobraźnia walczy o lepsze z wysiłkami, — to przekonamy się, że oni nie tylko chcą być bankierem świata, lecz póki sił, póki życia — jego przodownikiem.

Wysoce znamienym i ciekawym jest stosunek Francji do Anglii i do Rosji. Z pierwszą łączy ją zaledwie porozumienie, z drugą — wieloletnie przymierze. Tymczasem z objawów życiowych odnosi się wrażenie wręcz przeciwnie. Francuzi nie pomijają żadnej okazji, ażeby zamanifestować swą szczerą przyjaźń, głęboki szacunek, ufną wiarę względem Anglii. Manewry marynarki, mowy ministrów angielskich, koronacja króla Jerzego, odsłonięcie pomników Wiktorji i Edwarda na Rivierze, wielomiesięczny pobyt następcy tronu w Paryżu, wizyta 1,000 dzieci z Londynu i t. d. i t. d. są ilustrowane, opisywane i omawiane z takim zachwytem i dumą, że naprawdę czuje się wszelkie dawne pretensje zapomniane. A jakie przerażenie i współczucie budzą bezrobocia i wewnętrzne niepokoje w Anglii: nie sojusznik, lecz przyjaciel w niebezpieczeństwie, jego przemysł, handel, jego potęga cierpi! Natomiast o Rosji przeciętny francuz wie, że jest daleka, duża i dzika. W prasie więcej miejsca zajmuje kwestja Meksyku, Peru, Transwalu, posiedzenia parlamentów w Atenach lub Waszyngtonie, niż wewnętrzne życie sojusznika. Duma lub strejk na Syberji to sprawy równorzędne z awanturą murzyńską na Kubie. I gdyby nie rząd, który zabiegliwie wypełnia obowiązki etykiety, sojusz ten wygasłby automatycznie jak pusta lampka. Anglikowi okazuje francuz szacunek, rozumie jego wartość; względem rosjanina jest pobłażliwy, z lekceważeniem, a nawet pewną nieufnością. Gdy lord Haldane, były angielski minister wojny, zaczął robić w Berlinie oficjalne porozumiewawcze kroki, ogół francuski śledził to z uwagą, lecz bez niepokoju; gdy natomiast zdarza się jakiegokolwiek spotkanie dyplomatyczne niemiecko-rosyjskie, prasa paryska robi historyczne i zabawne wysiłki, ażeby zapewnić, że to niema wpływu na przymierze.

Niepodobna tego zjawiska tłumaczyć wyłącznie sąsiedztwem dwóch narodów, podobieństwem ustroów politycznych, lub też jednakowym stopniem ich kultury. Francja prowadziła z Anglią przez całe wieki wojny, a ich sympatje datują od chwili uznania Niemiec za wspólnego wroga. Pierwszorzędną rolę gra ten pewnik, że w razie starcia oba państwa jednocześnie wyteżą wszystkie siły dla złamania potęgi niemieckiej, podczas gdy Rosja nie będzie mogła, a prawdopodobniej — chciała, pomagać sprzymierzeńcowi. To jest środek ciężkości, głęboka przyczyna nadziei, trwogi i nastrojów społeczeństwa francuskiego. Dopóki wisi nad jego dobrobytem masa najeżonych bagnatów 66-miljonowego sąsiada, dopóki dostrzega ciągle głodną, uzębioną paszczę zbója Europy, dopóki wie, że francuz stworzy a niemiec udoskonali, że francuz wyszuka a niemiec skorzysta — dopóty zawsze oczy i serca francuzów zwrócone będą w stronę Anglii.

Jakie jest społeczeństwo i prasa, taki jest rząd. Pierwsze można łatwo bezpośrednio obserwować, drugi daje do zrozumienia swe intencje zwykle w takiej formie, ażeby przy zmianie kierunku można je było inaczej tłumaczyć. W każdym razie tych ustalonych symbolów polityki międzynarodowej nie brak we Francji. Ministerja bądź niezdecydowane (Monis), bądź rentierów (Caillaux) — padały. Wizyty oficjalne lub półoficjalne pomiędzy Francją, Anglią, Belgją i Holandją odbywają się w przyspieszonym tempie. Mowy wszelkich dostojników podczas przeróżnych okazji brzmią twardo, czasem nawet wojowniczo. Postanowienia i noty dyplomatyczne są spokojne, lecz

stanowcze. Tak wyraźny polityk, jak Delcassé, uznany powszechnie za nieprzejednanego wroga Niemiec, on jeden pozostaje przy tece ministra marynarki pomimo, że całe gabinety ustępują pomimo, że parokrotnie proponują mu tekę prezesa ministrów, a ostatnio fotel prezesa Izby deputowanych z widokiem następstwa po Faillerze. Clemenceau, który trzęsie senatem, jedną mową powala lub powołuje do życia dziesiątki i dziesiątki mężów stanu, a gdy mówi, to go słucha cała Francja, woła podczas rozpraw nad traktatem marokańskim wśród entuzjazmu wszystkich senatorów: „A jeśli panowie Niemcy będą niezadowoleni, to, to niechże panowie Niemcy będą niezadowoleni!“ I cały skład „wielkiego“ gabinetu, z Poincaré na czele, jest najwymowniejszym dowodem, że minęły czasy upokorzeń, słabości, ustępstw, a nastają, jeśli nie odwetu, to wysiłków ku niemu. Nie pozostaje również Francja w tyle w wyścigu zbrojeń i ulepszeń wojskowych. Ta tylko jest różnica, że Niemcy, rozporządzając dużą ilością wolnego „mięsa dla armat“, powiększają ilościowo swą armję; Francja zaś, doprowadzwszy do kresu liczbę żołnierzy, udoskonala wojska jakościowo. Oprócz wielu zarządzeń cichych\*), powszechnie znana jest wysoka wartość składu oficerskiego, gdzie spotykamy szereg sław naukowych (Ferrier, Collin, Roques i t. d.), precyzja artylerji, sprawność i organizacja saperów, park lotniczy i t. p. Przyglądając się tym sprawom bliżej, widzimy znowu, że to już nie zwykła ostrożność, ale uporządkowany ruch, jako skutek wrzenia w społeczeństwie.

Wielu jeszcze zjawisk nie obejmują nasze uwagi. Wizerunek społeczeństwa francuskiego należy do wysoce skomplikowanych i nasze spostrzeżenia dają raczej kontur twarzy gniewnej, a nie jej wygląd. Obraz nie może być pełnym, bo pominięliśmy barwy ciemne, brudne, których jest dużo. Najbardziej jednak charakterystyczne rysy nastrojów francuskich — wojownicza nienawiść, czujność zagrożonego bezpieczeństwa, entuzjazm dla sprzymierzeńców są tak wyraźne, tak powszechne, tak trwałe, że dopiero po nich można wykańczać sylwetkę fizjonomji politycznej kraju.

Na tę nerwowo skrzywioną maskę wahania i przeczuć patrzy przyjaźnie stanowcza, zimna, mądra twarz Anglii.

R.

## W obronie szlachty.

Udzielając miejsca artykułowi p. W. Szukiewicza powodowaliśmy się zasadą: audiat et altera pars. Zastrzegamy się jednak, że bynajmniej nie podzielimy poglądów Sz. Autora na rolę większej własności ziemskiej w rozwoju ekonomicznym i kulturalnym naszego kraju. O ile wywody p. Z. Kuncewicza tracą zbytnio schematyzmem, o tyle p. W. Szukiewicz traktuje z wyrazem lekceważeniem programy i teorie, zapatrując się na omawianą kwestję nieco — po gospodarsku.

Przedewszystkiem, winienem to sobie zastrzec, jako uznany przez p. Z. Kuncewicza za dy-

letanta w znajomości spraw społeczno-ekonomicznych, nie mam odwagi sięgnąć do dna głębin jego naukowych poglądów, podanych nam świeżo w № 28 „Przeglądu Wileńskiego“, w artykule p. t. „Jeszcze o ewolucji form własności ziemskiej“. Jedynie pływając po powierzchni wzburzonych fluktów owego morza niezgłębionych dla mnie tajemnic, zdołałem zauważyć coś nie coś, a mianowicie to, że p. Z. K. w odpowiedzi p. Ludkiewiczowi i mnie, nie życzył sobie utrzymać się w tonie spokojnej dyskusji, lecz dając folę swym krewkości, starał się grozą słów zmiażdżyć przeciwników. Uznając prowadzenie w ten sposób polemiki za bezcelowe, cofam się ze szranków. By jednak nie zostawić swoich poglądów w oświeceniu p. Z. K., pozwalam sobie paru słowami je uzupełnić.

Więc 1-0. Wolno p. Z. K. nie uznawać w ukochaniu dziedzictwa ekonomicznej siły decydującej; lecz nie należy negować tego „sentymetu“, który przecie tak często występuje, jako czynnik kierujący dolą całych narodów. Sięgając do czasów najdawniejszych, widzimy, że właśnie ów „sentymet“, rodząc się w duszy człowieka pierwotnego, stworzył całą kulturę ludów osiadłych, dając im przewagę nad nomadami, którzy w osobach cyganów, kirgizów, indjan czerwonoskórych i innych, do dziś dnia nie umieją przystosować się do wymagań cywilizacji. Biorąc przykłady bliższe nas, widzimy, że ukochanie dziedzictwa u flamandczyków tworzy cuda, bo wydziera morzu dno jego, ażeby na niem prowadzić kulturę rolną.

Ten sam sentymet każe finlandczykom kruszyć skały dla przetworzenia ich w urodzajne niwy, a wielkopolan zmusza do podnoszenia — kosztem ogromnych wysiłków — kultury rolnej, byle tylko nie dać się nawale giermańskiej. Przecież zarówno flamandzcy, jak finlandzcy lub wielkopolan, mogliby gdzieindziej, korzystnie ulokować swoje kapitały i nakłady pracy. Ale trzyma ich przy tej swojej ojcowiznie ukochanie dziedzictwa, siła wyższa ponad wszystkie teorie i pragnienie zysków.

Przechodząc do przykładów jeszcze bliższych, nie zaprzeczy chyba p. Z. K., że brak u naszych ziemian owego ukochania dziedzictwa, przyczynił się do ruiny bardzo wielu. Tradycyjne przeznaczanie na gospodarza najgłupszego do synów, a kierowanie innych na lekarzy, adwokatów, inżynierów, księży etc. sprawiło, że dziś mamy pracowników w różnych fachach, nie mających łączności z ziemią, więcej, niż agronomów. Każdy ojciec radby widzieć syna, biorącego kilka tysięcy rubli wnet po skończeniu zakładu naukowego, więc odsuwa go od ziemi, ukazując inne horyzonty, a tymczasem ziemia opuszczona upada w kulturze i staje się w końcu łupem więcej dającego spekulanta. Taki hr. A. Potocki, kiedy sprzedawał klucz horodelski w pow. lidzkim w ręce obce, właśnie nie kierował się ukochaniem dziedzictwa, lecz pojęciem w swoim rodzaju interesu. O ileżby lepiej mógł wyjść kraj na tem, gdyby hr. A. P. posiadał choć trochę owego sentymetu, negowanego przez p. Z. K.!

Warto też przypomnieć owego ziemianina, który porzucił intratną posiadłość na Syberji, a wró-

\*) W roku zeszłym wprowadzono 900 nowych samochodów-omnibusów dla publicznego użytku na miejsce dawnych piętrowych według najściślejszych wskazówek sztabu generalnego. Niemcy już od r. 1902 pozwalają fabrykom budować

tylko takie automobile ciężarowe i pasażerskie omnibusy, których szybkość, wytrzymałość i t. d. mogą zadość uczynić wymaganiom armji w czasie wojny. Przykładów podobnych jest znaczna ilość.

cił do kraju, pracować na zagonie rodzinnym wprost dla idei, chociaż ów zagon, wobec syberyjskiej posady, wart bardzo mało. Czyż nie kierował się ów ziemianin „sentymentem”? A jednak nikt mu z tego zarzutu nie czyni, owszem, uznając w nim człowieka idei, spodziewamy się, że praca jego będzie tem owocniejsza dla kraju.

Wogóle można rzec, że jak przy budowie gmachów potrzebne jest spoidło cementowe, tak każda praca społeczna powinna być spajana ukochaniem jednej z głównych podstaw tej pracy — dziedzictwa, a wówczas będzie dopiero miała gwarancję trwałości. Do ziemian tembardziej się to stosuje, bo gruntem, na którym oni całą swoją moc opierają, to ziemia, którą oni nie tylko kochać, lecz czcić powinni!

Powtóre, p. Z. K. nie wierzy, ażeby przedstawiciele drobnej własności ziemskiej, mogli kiedy pójść za przewodem właścicieli większych, a nie uzasadnia jednocześnie swojej wiary w to, że lud pójdzie za swoimi idejologami. Ba, nawet osłabia tę wiare w czytelniku, bo wyżej zaznaczył, że nawet K. Marks mylił się, przeceniając żywotność rosyjskiej spółnoty („obszcziny“), a niżej, przytaczając słowa p. M. Römera, że dopiero warto pomyśleć o programie ludowym, dowiódł braku w sobie wiary w możliwość prędkiego spełnienia swoich przepowiedni. Zresztą nie będę się z p. Z. K. spierał o to, bo sam w przyszłość ludu, jako podstawę organizmu społecznego — wierzę.

Ale wierzę zarazem, że i ta część społeczeństwa, która dotychczas, od tylu wieków, niosła wysoko sztandar cywilizacji w tym kraju, poniesie go i nadal, jeżeli nie przodując, to idąc w pierwszych szeregach w każdym ruchu społecznym. Rozumie się, ta przepowiednia swojego rodzaju, nie trafi z pewnością do przekonania p. Z. K., bo on żadnej łączności szlachty (vel większych właścicieli ziemskich) z ludem nie uznaje. Według p. Z. K., nawet jeżeli taki szlachcic daje „chamowi” książkę, to koniecznie z towarzyszeniem choć niedopowiedzianego epitetu: „Masz, durniu, przeczytaj!” Innego celu rozszerzania czytelnictwa wśród ludu przez dwory, prócz zadowolenia własnej fantazji, p. Z. K. nie widzi. Widożnie nie życzy przypomnieć sobie, że był czas, kiedy tą drogą jedynie przedostawało się światło w mroki umysłowości ludu, że w ten sposób zakładały się fundamenty pod gmach przyszłej kultury kraju. Tego faktu ani wydrwiwać, ani negować nie należy.

Po trzecie — konserwatyzm ludu, jakkolwiek weń p. Z. K. nie wierzy, niestety istnieje. Utrzymuje się on siłą zbiegu fatalnych warunków, kierujących życiem i pojęciami włościan. Dla tych warunków, postęp jeszcze do duszy ludu nie ma przystępu, natrafiając zawsze na przeszkody w postaci uświęconych od wieków tradycji, których on dotykać nie pozwala, zamykając się przed wpływem obcym jego duszy, jak małż w skorupie. Dla tego konserwatyzm ludu, zwykle zyskuje jego wiare nie ten, kto rzeczywiście myśli o jego dobru, lecz umiejający zręcznie dać w dudkę jego pojęć, wierzeń i namiętności. Dla tego konserwatyzm ludu, dziś praca z nim na polu dążeń kulturalnych jest nadzwyczaj trudna, bo znajdzie się zawsze jakiś z pod ciemnej gwiazdy doradca, który, podbijając bębni konsekwatyizmu, popsuje całą pracę.

Po czwarte — usuwanie się ziemian od kółek rolniczych nie dowodzi jeszcze braku u nich po-

czucia solidarności z większością narodu. Najlepsze nieraz chęci w tym względzie, zostają sparaliżowane właśnie przez owe warunki, podtrzymujące konserwatyzm ludu i każące mu nieraz postępować wbrew jego własnym interesom. O ustępowaniu *pro publico bono* — jak się wyraża p. Z. K. — dlatego, że kogoś ominął mandat prezesa lub kasjera — nie slyszalem. Jest to oskarżenie całkiem glosłowne, spłodzone przez p. Z. K. na poczekaniu, widocznie w celu uwydatnienia swoich poglądów.

Po piąte — stanowczo twierdzą, że 8-procentowy kredyt dla ziemian małorolnych jest za drogi. Dowodzenie, że dlatego chłop może płacić drożej, iż nie ceni pracy ani swojej, ani rodziny — mojem zdaniem, nie wytrzymuje krytyki. Kredyt na meljoracje rolne powinien być tańszy koniecznie, bo rola w tej kulturze, jak u nas, czy kto na niej sam pracuje, lub nie, ośmiu-procentowego wkładu nie zwróci. A kredyt tani może być, tylko należy istniejące kasy zreformować. Wiem np. o pewnej kasie, że za wkłady płaci tylko 4 proc., a składając zbywające od wydanych na 8 proc. pożyczek sumy w jednej z prywatnych instytucji, zadawała się 6 proc. Czyż nie słuszniej byłoby rozdać te sumy na tańszy procent między ludność miejscową? Ale dość już o tem, bo mi p. Z. K. znów zarzuci brak kompetencji.

Po szóste — co do zalecanej przezemnie metody obserwowania osobistego zjawisk społecznych, to muszę podkreślić, że nie idzie mi wcale o dotykane wszystkiego własnym palcem, jeno o sprawdzanie danych, na zasadzie jakich budujemy nasze teorje. W tym razie, dopóki nam statystyka, przeprowadzona z całą sumiennoscia, nie powie: „Oto giniecie, rola wasza w tym kraju skończyła się i inni zastąpią wasze miejsca” — dopóty wszelkie dowodzenia, chociażby oparte na przesłankach z prawd, do których doszły nauki społeczno-ekonomiczne, nie dadzą nam przybliżonego nawet pojęcia o tem, w jakim kierunku rozwinię się życie społeczne i w jakim środowisku zogniskuje się praca najbardziej intensywna.

Wracając do przesądzonej przez p. Z. K. kwestji znikania większej własności ziemskiej, pozwolę sobie zaznaczyć, że zjawiska tracenia dziedzictwa przez lekkomyślność, nieumiejętność lub skutek zbiegu niepomyślnych okoliczności — zdarzały się nieraz i nie od dziś. Fortuny zmieniały właścicieli, rozdrabniały się i znów skupiały, ale były to sprawy doby, nie zaś jakiejś konieczności dziejowej. Nie ulega wątpliwości, że utworzenia kultury materialnej kraju nie tylko z rąk obszarników oczekiwać należy, ale również jest rzeczą pewną, że i ci, co obecną kulturę — jakkolwiek ona jest — stworzyli, przedstawiają bądź co bądź siłę, mającą wszelką gwarancję trwałości, która jednym pociągnięciem pióra wykreślić się z życia nie da, lecz — można przewidywać — w przyszłej ewolucji ekonomicznej wybitną jeszcze odegra rolę.

Faktem jest, że o ile w przyszłości kultura materialna kraju będzie zależała od rozwoju kooperacji, to bezwarunkowo oprze się ona o szersze masy drobnych właścicieli. Ale pewnikiem jest również, że w tym idealnym koncercie społeczno-ekonomicznym pierwsze skrzypce będą dzierżyli nie ci, co jedząc przez całe swoje życie kartofle z sosem od śledzi, uciutali kapitalik, lecz ci, którzy rozwijając od wieków w swoim środowisku kulturę umysłową, dają zawsze społeczeństwu ini-

cyjatywę pracy. Od tych, którzy już są i działają, możemy spodziewać się i mieć nierównie więcej, niż od tych idejologów, którzy dopiero myślą o zbudowaniu programu ludowego.

Wandalin Szukiewicz.

## Metodyka krytyki literackiej.

Mówić o metodyce krytyki literackiej u nas — to znaczy przypominać równocześnie nazwiska Mochackiego, Tyszyńskiego, Grabowskiego, Lewestama, Szulca, Siemieńskiego, Chmielowskiego, Matuszewskiego, Chlebowskiego, Brzozowskiego, Lorentowicza i wielu, wielu innych. Praca ich nie może pozostać i nie pozostała faktycznie dla nas bez wpływu. Sądy ich i kryteria zaważyły na świadomości artystycznej; każdy bowiem, kto chce dzisiaj o literaturze ojczystej pisać, musi się zmierzyć z ich kryteriami. Bo przecież odrzuca my lub przyjmujemy ich mniemanie o autorze lub dziele nie według jakiegoś widzimisie. Prostuujemy lub chwalimy ich sądy też nie według jakichś urojeń. Podchodzimy do ich sądów nie tylko ze strony tej, że chwala, czy gania; obchodzi nas przedewszystkiem *czemu* tak, a nie inaczej wartościują. Odpowiedź na pytanie *dla czego* pewien krytyk chwali w takich wypadkach, a w innych gani — odsłania motywy jego sądów; motywy zaś pokazują, w jaki sposób przystępuje on do dzieła, co go najbardziej w nim interesuje, co pociąga, a co odstręcza. I nawet jeżeli krytyk wyrzeka się metodologii, jak to zrobił pan Potocki we wstępie do swojej „Literatury“, to i wtedy z sądów jego i orzeczeń można skonstruować jego metodykę. Rozumie się, że frazesik o bezużyteczności metod — p. Potocki uzasadnił w sposób tak przekonujący, iż na przyszłość nikt pewno nie odważy się być krytykiem bez... kryterjów. Cóż to bowiem znaczy: nie uznawać metod krytyki? To znaczy nie uznawać żadnych wogóle kryterjów.

Z tego stanowiska wychodząc, należałoby się dziwić, że p. Potocki poważnie traktuje swoje sądy nad literaturą polską. Dla każdego bowiem jest widoczne, że skoro ktoś nie uznaje metod krytyki, tem samem przestaje być krytykiem; nie powinien pisać książki krytycznej o literaturze. Jest to przecież kontradycja w samym założeniu, paraliż tego, co powinno być żywe, czujące i obecne.

Mało kto zwrócił uwagę na ten założeniowy paraliż myśli „krytycznej“ p. Potockiego. Stało się to jednak dlatego, że u nas krytyków zawodowych jest niewielu, a ci, którzy są (z wyjątkiem Lorentowicza!), nie chcieli koledze po fachu zrobić „przykrości“. Ograniczyli się więc wykazaniem nieścisłości i błag w podawaniu tytułów i dat. Nie poruszyli zaś sprawy najważniejszej, sprawy metodologicznej, która, zdaniem mojem, powinna być przedewszystkiem w książce tej rozpatrzone, choć p. Potocki rzekł się... metody. Z pracy jego o autorach i dziełach należało wydedukować jego metodykę. I wtedy to wykazać, jak nie krytycznym jest krytyk, który nie zna motywów swojej ekstazy, czy depresji. Wtedy to stałoby się jasne, czemu p. Potocki nad nieznanym nikomu poetą, jak Adamowicz, długo debatuje, a czemu Matuszewski, Chlebowski, Lorentowicz zbyci są kilkoma słowami.

Zresztą w tej swojej nonszalancji dla badaczy literatury nie jest p. Potocki oryginalny. U nas, w Polsce, o krytykach wie się niewiele. We Francji, w Niemczech wielkości takie, jak Siemieński nawet, byłyby komentowane. Jest bowiem u tych narodów ciągłość kultury; a więc wiedzą one, że nie wolno nic wyrzucać ze skarbnicy ducha bez szkody dla całości. U nas zaś skoro pewien badacz nie zgadza się światopoglądowo z przekonaniem jakiegoś pisarczyka, to *eo ipso* nie istnieje on zupełnie dla całej Polski.

Niemcy, francuzi umieją już dawno różnicować kwestję poglądu na świat i kwestję fachowości; umieją uszanować przeciwległość przekonań i doniosłość, czy ujemność dokonanego dzieła. Przypuśćmy, że wielu społecznych krytyków Francji nie zgadza się z kryteriami Sainte-Beuve'a. Ale to nie znaczy, że Sainte-Bouve nie istniał. U nas zaś o krytyku, z którym społeczne pokolenie nie zgadza się, mówią bez ogródek, że nie był... krytykiem, że nie istniał. W ten sposób wykreśla się z historii myśli naszej cały rodzaj pracy. Bo naprzykład co innego jest dowiesć p. Potockiemu, że jest dyletantem, a co innego wykreślić z historii krytyki literackiej w Polsce Siemieńskiego, choć np. o Norwidzie pisał on bardzo nieprzychylnie. Można było odrzucać wartości przyszłościowe w jakimś artyście — ale to nie znaczy, że pisarz-krytyk przez to nie był pracownikiem, świadomym swoich celów-kryterjów. Co więcej, dla nas płynie stąd nauka, że pewne metody krytyki, pewne kryteria są szkodliwe dla twórczości, że należy stosować je oględnie, że wreszcie dlatego właśnie zrodziły nieporozumienia, gdyż były oparte na niezupełnych podstawach. I dlatego dziś, naprzykład, korygując stosunek Siemieńskiego do Norwida, zyskujemy doświadczenie, zyskujemy wskaźnik, jak nie należy ujmować dzieł sztuki. Rozszerzamy przez to pole naszego pojmowania i odczucia, rozszerzamy jednym słowem skalę naszej metodologii...

Na czem jednak polega metodologia w krytyce? Czem się wyróżnia ona od spostrzeżeń, uwag, chwaleb, czy oszczerstw, jakie spotyka się w recenzijkach, a nawet całych „studjach“ literackich? Otóż, by odpowiedzieć na te pytania, trzeba zaznaczyć, że krytyka różni się od wszystkich innych rodzajów twórczości zdecydowaną postawą *świadomościową* względem wszystkich zjawisk. Z samej więc natury rzeczy wynika, że rozporządzać ona musi walorami jasnych wymagań, określonych celów. Krytyk np. może błędnie wartościować dzieło; rozgrzesza go jednak przed trybunałem fachowości, nie to, czy chwali, czy gani, lecz to, czy wie on, czemu chwalił, czemu ganił i czy zgadza się z linią krytyczną, którą sobie wytknął.

Dla przykładu przytoczę nazwiska dwóch społecznych recenzentów teatralnych warszawskich: Ehrenberga i Lorentowicza. Nikt nigdy nie wie, co może się podobać p. Ehrenbergowi. Jest on zupełnie nieobliczalny w swoich sądach, bo nigdy nie wypowiedział dwóch słów w kwestji jakiegoś programu estetycznego, który uważałby za swój własny. Czemu więc żąda on od dzieła sztuki, jako takiego, nikt nie wie. Wprawdzie można by z jego plonów i złośliwych inwektyw wysnuć pewne uogólnienia, ale te przekonałyby nas o pewnych osobistych sympatjach. Nie zawaha się bowiem p. Ehrenberg napisać wstępu do „nowel“ jakiegoś Kwaśniewskiego; nie zawaha się „wytlumaczyć“, czemu jakaś nędzna ramota w interpre-



tacji Kamińskiego staje się „gienjalnem“ dziełem; nie zawaha się nazwać „rewolucji“ Tetmajera spadkobierczynią „Nieboskiej komedji“. P. Ehrenberg jednym tchem kreować może Nowaczyńskiego na programowego i sztandarowego pisarza! Pan Ehrenberg o naiwnej księżczyńce p. Rafałowiczowej może napisać 1000 wierszy... o Ibsenie! Pan Ehrenberg z powodu Herbla może napisać o obcach starego Fryderyka-Wilhelma i... filozofji Schellinga. Słowem, po bacznem wejrzeniu, arcysmaczny bigos hultajski — ale nie krytyka poważna i odpowiedzialna.

Inna rzecz z Lorentowiczem. Wiadomo zgóry, co może mu się podobać, a co będzie ganił. Określił on bowiem tak jasno swój stosunek do teatru, do sztuki, że nikogo nie zadziwi, jeżeli pochwali lub zgani. Nikt nie może rościć do niego pretensji, że gani, bo uzasadnia on swoją niechęć. Wiadomo np. zgóry zawsze, że nie pochwali on zbyt sztuki o podkładzie nawskroś naturalistycznym. Ale to wcale nie obniża powagi jego sądu. Przeciwnie: mówi, że przychodzi z określonymi wymaganiami, że ma swój własny pogląd na ten kierunek twórczości.

Zdaje się, że na przykładzie tym wyjaśniłem, o co przedewszystkiem chodzi w podstawie krytycznej. By jednak ściśle wyrazić myśl, zawrę ją w definicji. Chodzi o *świadomość stosunku krytyka do dzieła sztuki*, do dzieła literatury. Ta *świadomość* bowiem rozstrzyga, czy jest on krytykiem, czy dyktantem. Otóż z tego stanowiska o Ehrenbergu trzeba orzec, że jest on przypadkowo recenzentem: o Lorentowiczu zaś, że jest to krytyk zawodowy.

Gdy wyjaśniłem kardynalne wymaganie w stosunku do krytyki, chcę przedstawić teraz rodzaje metody. Metody krytyki literackiej zmieniały się dotychczas kilkakrotnie i zmieniać się będą, gdyż wiadomo powszechnie, iż każdy moment dziejów wytwarza swoje własne wymagalniki. Mieliśmy na przykład u nas w Polsce krytykę utylitarystyczną i krytykę antiutilitarystyczną. Sam jednak utylitaryzm lub antiutilitaryzm jeszcze nie wskazują metody; bo, na przykład, można wyjaśniać koncepcję jakiegoś dramatu przez środowisko, a jednak omawiać tylko wzruszeniowo-estetyczną jego stronę lub też podkreślać pedagogiczną wartość utworu. Otóż, by wejrzeć w samą postawę metodologii — trzebaby kolejno omówić wszystkie kryteria, poczynawszy od Ignacego Potockiego (autora „Podróży do Ciemnogrodu“, „Estetyki“ i t. d.), potem klasyków: Brodzińskiego, Mochnickiego, aż po dzień dzisiejszy. Wobec tego jednak, że nie mam miejsca na szczegółowe omawianie każdej z postaw — wyznaczę tylko ogólne różnice. Można by je rozklasyfikować na dwie kategorie, pomijając przygotowawcze filologiczne poszukiwania:

na metodyki, które od treści, od ideologii zdążają do wartościowania dzieła.

i na metodyki, które od odczucia *harmonijnej całości*, od wrażenia, jakie sprawia forma utworu, przechodzą do wydania sądu.

Rozumie się, że każda z tych dwóch kategorii, które wyżej wypisałem, ma przeróżne sposoby interpretacji. Tak np. ideologję utworu wyjaśniają przez środowisko, przez rasę, przez moment historyczny lub też przez indywidualną sympatję światopoglądową, przez kalkulacje pożytku lub szkody, wreszcie przez interes polityczny lub narodowy. *Wzruszeniowa* zaś metodyka ma też najprzeróżniejsze sposoby rozumienia. Dla jednych

jest ona wymaganiem syntezy przeżycia i formy; dla innych tylko idealna forma świadczy o doskonałości treści dzieła i t. d. i t. d.

Pierwszy sposób rozumienia odpowiada racjonalistycznym badaniom; badacze zaś, wywyższający irracjonalizm, zazwyczaj stosują metodykę „wzruszeniowości“. Piotr Chmielowski przechylał się w stronę ideologicznej interpretacji; Miriam, Przesmycki zaś zwraca uwagę na estetyczną, wrażeniową całość.

\* \* \*

Tak w ogólnych konturach przedstawia się metodyka. Wiem, że nie wyczerpałem kwestji. Nie o to mi chodziło. Chciałem tylko zwrócić uwagę na istnienie tego problemu w szeregu innych zagadnień, które interesować powinny nasz myślicy ogół. Co więcej, chciałbym zwrócić uwagę, że metodologją krytyki zajmują się u nas w Polsce lat 100, to jest akurat tyle czasu, ile istnieje ten odłam specjalizacji wiedzy ludzkiej. Podkreślam to bardzo wyraźnie, gdyż chodzi mi o sprostowanie błędnego mniemania, że nie mieliśmy krytyki literackiej. Jest to fakt, któremu przeczą nazwiska Mochnickiego, Tyszyńskiego, Grabowskiego, Dembowskiego, Szulca, Chmielowskiego i Chlebowskiego.

Niech więc po przeczytaniu mojego artykułu zrodzi się chęć zapoznania się z pismami tych ludzi, a cel pracy tej będzie w zupełności osiągnięty.

O to mi bowiem przedewszystkiem chodziło!

Eustachy Czekalski.

JÓZEF STANISŁAW WIERZBICKI.

## Z księgi ciszy.

### Krzak śpiewający.

„Kiedy słowikiem krzak zaśpiewa róży  
„Powiem Ci: — Kocham! przed księżycą przyjdziem;  
„A kiedy znowu piosnka się powtórzy,  
„Dam pocałunek Ci różanym liściem;  
„A kiedy róży listki się nastroją  
„Na pieśń słowiczą znowu, — będę Twoją!“

\* \* \*

„A jeśli więcej jeszcze będzie pieśni?“  
„To od początku, od: kocham zaczniemy,  
„Aż się maj cały jak melodja prześni.“  
„A jeśli czasem słowik będzie niemy?“  
„I wtedy rytm nasz nie dozna odmiany!“

Sto razy w maju śpiewał krzak różany...

### Złudzenie.

Gra źródło niby szklanna harmonika,  
Po drodze srebrne zabierając echa;  
Tam ją czekałem w ciszy u ponika,  
Gdzie noc gwiazdami z wody się uśmiecha.

*Tam wyszła ku mnie z gęstwi kalin biała,  
Z pod ciemnych koron olchowego liścia  
I w bzach szepecących baśń wieczorną drżała,  
Wstydliwie jakby kryjąc wdzięk u wnijścia;*

\* \* \*

*Tam lekką stopą wbiegła w szmery fali,  
Igrając w strudze senną blasku chwilką  
I znikła... źródło popłynęło dalej...*

*To był księżyc pierwszy promień tylko.*

## PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

J. Ejsmond: „Bajki i Prawdy”—druk L. Bogusławskiego.—  
Warszawa.

Gdyby mnie kto zapytał, czy może być coś bardziej rozkosznego nad spotkanie młodej i pięknej kobiety, odpowiedziałbym: O, tak! spotkanie młodego talentu! Potem bym się wprawdzie zawahał, bo młoda i piękna kobieta, to rzecz istotnie czarowna, ale pomyślałszy chwilę, zgodziłbym się ze Stendhalem, że wybitnie piękna kobieta za drugim widzeniem podoba się mniej i zostałbym przy pierwszym swoim twierdzeniu, bo talent przy powtórnym z nim obcowaniu podoba się więcej. To jest właśnie jego boską cechą.

W „Bibliotece dzieł wyborowych“ wyszedł tomik zatytułowany „Bajki i prawdy“, a podpisany nieznanym w literaturze naszej nazwiskiem Juljana Ejsmonda. Otworzyłem książkę i czytałem. I oto doznałem wrażenia, że spotykam młodą i piękną kobietę; a raczej to, co jest od pięknej kobiety piękniejsze: młody talent.

Występując w roli krytyka pierwszych utworów p. Ejsmonda, pamiętam o jego bajce p. t. „Kwiaty i prasa“, w której autor bezinteresownie, bo przed pojawieniem się ocen jego prac, opowiada o pewnym botaniku, co wkładał rośliny pod prasę! „Kwiat zasuszony, choć miał żywego pozory, nabierał zawsze troszkę odmienne kolory i tracił moc aromatów, przez co stawał się podobnym do sztucznych kwiatów. Tak i kwiaty poezji! Skoro tylko prasa weźmie je w swoje obroty, choćby wyszły z pod pióra Petrarcki lub Tassa, blask tracą złoty, a kiedy je rozpatrzyć chce krytyk-botanik i wszystkie spostrzeżenia swoje pozgromadza, najczęściej tem sprowadza piękna całkowity zanik“. Waham się tedy „spostrzeżenia swoje pozgromadzać“ o „Bajkach i prawdach“. Lecz waham się tylko chwilę.

Moje spostrzeżenia mają u podstawy radość z napotkania złotej żyły talentu, więc jeżeli wskazać braki tu i owdzie widoczne w książce młodego poety, wskazania te nie mogą być zniechęcające ani dla autora, ani dla przyszłych czytelników omawianej książki, gdyż wszystkie wspomniane braki są nie zasadnicze, ale zwierzchnie, biorące swe źródło we wczesnej młodości jeszcze niepełnoletniego nawet twórcy. P. Ejsmond dopiero szuka swojej formy. Narazie posługuje się formą Lafontaine'a i najczęściej Jachowicza, rzadziej Lemańskiego, najrzadziej zapożyczając się u Boy'a.

Wszakże w używaniu Jachowiczowskiego stylu przez p. Ejsmonda czuć żartobliwość. P. Ejsmond w bajce wyszydza nie tylko bohaterów bajki, ale i język, którym bajkę pisze, a jest to zrobione dyskretnie, więc jest to ładnym maleńkim pieprzykiem pod kąciem ironicznie uśmiechniętych ust bajkopisarza.

O wierszach, których treść odznacza się młodością zbyt.. poranną, mówić nie będę wobec innych bajek, zawierających prawdy już dojrzałe i dowcipne. Jakże jest świetny np. epigram, położony na tytułowej stronie: „O! na to, aby po śmierci w laurowym wieńcu żyć, ileż potrzeba za życia laurowych kropel pić!..“

Albo bajka o „Gienjalnym osle“, któremu skąpiec kupił szkła powiększające, aby mniej pożerał trawy i zielska. Gdy ten stary osioł, „mijając stawy, ujrzał w wodzie odbicie wielkiego swego cielska, z dumą pomyślał, że jest wybranym losów, olbrzymem pierwszym z kolosów, z nikim we wsi nie gadał, traw poziomych nie jadał, pogardzał wodą czystą, aż zdechł bajronistą. Nawet zapalu jego ten fakt nie ostudził, że w nikim z otoczenia podziwu nie wzbudził. Zawsze (moralizuje autor) osłów niepamięć i rozpacz pogrzebie, gdy przez powiększające szkła patrzają na siebie“.

A ta świetna drwina z Ezopa i Lafontaine'a, bajka o zielonych winogronach. Należy ona do najlepiej zbudowanych bajek p. Ejsmonda z pointą zadzierzgniętą tak mimochodem, jak zerwanie przydrożnego bławatka przez kogoś, co to czyni, jakgdyby myśląc o czemś innym. Niepodobna tej krótkiej bajki nie przytoczyć.

Wyszedł lis zgłodniały z nory  
westchnął z głębi płuc.

A był on nadzwyczaj skory  
wszystkie kury i kaczozy  
z okolicy tłuc bez serca,  
wybijać i tłuc.

Pędzi hen do gąszczy sadu,  
przez plot daje sus,

A w sadzie krzew winogrodu,  
jagód sypie się jak gradu,  
lis nasz zdwaja kłus i pędzi,  
lis nasz zdwaja kłus...

Woń czarowna z wina wieje,  
zefir lekki dmie;

ale lis winogron nie je,

w duchu się z Ezopa śmieje,  
do kurników mknie co siły,  
do kurników mknie.

Bajki p. Ejsmonda niezwykle dobrze nadają się do mówienia; ich język jest prosty i lapidarny, a niektóre odezwania się zwierzęcych bohaterów — mocne.

Jeden z francuskich krytyków powiedział o La Fontaine'ie: „Zna człowieka jak Molier, a społeczeństwo jak Saint-Simon“. Powiedzieć to o p. Ejsmondzie byłoby przedwcześnie. Ale że o młodym autorze „Bajek i Prawd“ każe się wiele spodziewać ten pierwszy tomik, zawierający i liryczne wynurzenia istotnie odczute a dalekie od powszedniości w swoim wyrazie, to można oświadczyć śmiało.

A tymczasem ta pierwsza mała książeczka jest w najmłodszej literaturze naszej zjawiskiem niepospolicie miłym.

W. G.

Andrzej Galica: „Robert Szporn“—dramat w czterech aktach. Kraków. Spółka Nakładowa „Książka“. Warszawa, skład główny w księgarni G. Centnerszvera i S-ki.

Tematem czteroaktowego dramatu p. Andrzeja Galicy, p. t. „Robert Szporn“—jest strejk.

„Robert Szporn“. Imieniem historycznym tytułuje się tak zwane historyczne dramaty, opowiadające dzieje duszy potężnej indywidualności zapomnianej przez Clio. Imieniem wymyślonem można nazwać dzieło, jeżeli fikcja artystyczna syntetyzuje pewien typ ludzki i odtąd ten typ przybiera imię nadane mu przez pisarza. Na określenie żyjących znajomych sięgamy do takich określników, jak: Falstaff, Geldhab, Tartuff, Valmont, de Grioux, Tartarin, Pochroń, Werther... Skąpca nazywamy Harpagonem, melancholika Hamletem, sielską dziewczynę Margeritą. Kogo nazwiemy Szpornem?

Autor pragnął w tej postaci dać typ kapitalisty, dyrektora kopalni węgla, zimnego ssawca pracującego proletariatu. Brutalny aferzysta, dworujący z uczucia, w końcu bankrutuje ze swoją arcyburżuazyjną filozofją wyzysku. Ale dopiero wówczas, gdy stracił w kopalni syna i gdy mu żonę zabrał blizki znajomy, Lorenz, nowoczesny, a szczęśliwy Werther, Robert Szporn boleje. Wystrzałem z rewolweru otwiera sobie wyjście z pustki, którą wokół siebie wytworzył. Bankructwo egoizmu.

Ani temat, ani rozwiązanie nie nowe.

I forma czteroaktowego utworu p. Galicy nie wnosi nic nowego do twórczości scenicznej. Znać w „Robercie Szpornie“ wczytywanie się autora w dramaty Ibsena i... Hauptmana z okresu „Róży Berndt“. Wzory miał p. Galica dobre.

Utwór p. Galicy przedewszystkiem cechuje uczciwość literacka; chce przez to powiedzieć, że w „Robercie Szpornie“ niema ani śladu pogoni za efekciarstwem; że rozwojem wydarzeń w „Szpornie“ kieruje surowa logika, nie robiąca ustępstw na rzecz błyskotliwości, sensacyjności, za którą autorowie wszystkich czasów tak lubią gonić. „Robert Szporn“ to utwór prawy i zapowiadający autora poważnego. Andrzej Galica dał w tym dramacie kilka scen prostych i mocnych... chociaż nie umiał stworzyć „typu“ z postaci tytułowej i chociaż na każdym kroku „Roberta Szporna“ widać dyletantyzm. Lecz „nawet pisarze o wielkim talencie—powiedział Wiktor Hugo do Edmond'a Goncourt'a rzadko posiadają dar dawania typu“; zaś dyletantyzm czasami męźnieje—w mistrzostwo.

W. G.

## PRASA POLSKA.

— P. Cz. J. informuje czytelników „Kurjera Warszawskiego“, o stanie obecnym kwestji białoruskiej, przyczem opiera się na świeżo wydanej w Petersburgu broszurze p. Antona Nowiny, p. t. „Na darozi da nowawo żyćcia“.

Na wstępie polski komentator owej broszury zwraca uwagę, iż

„Rzeczpospolita polska mogła z łatwością spolonizować cały lud wiejski białoruski na całym obszarze W. Ks. Litewskiego. Nie uczyniła tego“..

Jest to komentarz, naszym zdaniem, zupełnie zbyteczny, zarówno wówczas, gdy autor chce wi-

dzieć w nim tytuł do chwaleń, jako też ganień polityków Rzeczypospolitej. Dążność do wynaradawiania ludu jest kierunkiem bardzo świeżej daty. Przyszedł on wraz z demokratyzacją i uradawianiem państw. Tendencji podobnych nie mogła żywić Rzeczpospolita podobnie, jak nie widzimy jej również w dawnych Niemczech, które, germanizując szlachtę czeską i szląską, nie troszczyły się zupełnie o wywarcie takiego samego wpływu na chłopstwo tychże dzielnic. Zresztą, tak w Polsce, jak w Niemczech i w innych krajach ówczesnych wynaradawianie nie odbywało się celowo i świadomie. Towarzystwo ono samorzutnie wpływało na kulturę wyższą niższą.

Reasumując wrażenie, odebrane z broszury p. Nowiny, p. Cz. J. tak uwagi swe kończy:

„Grunt dla rozwinięcia ruchu białoruskiego jak był tak jest ogromny. Dziewięćmilionowy lud wiejski to obszar nielada! Czy grunt to dla propagandy białoruskiej kulturalnej samodzielności narodowej podatny? Niewątpliwie. Tradycyjne odrębności obyczajowe, odrębność wcale już wyrobionego języka, ukształtowanie się pod wpływami klimatycznymi i charakteru kraju *sui generis* fizjonomji duchowej—wszystko to jest wcale obfitym materiałem dla kształtowania *narodu białoruskiego*. Ale praca to wielka, mozolna i niełatwa. Przeprowadzona być może jedynie z niemałą inteligencją, z bystrem orjentowaniem się w politycznej naturze tej całej roboty. Innymi słowy: uczynić z ludu wiejskiego, tak wszechstronnie „zaniedbanego“, jak białoruski, *narod* w pełnem słowa rozumieniu, może tylko silny intelekt, zasobny w środki nietylko przypuszczalnie duchowej natury.

Tymczasem zaś sama taka „inteligencja“ musi dopiero wyrosnąć. Liczyć bowiem na to, że wyhodowaniem narodu białoruskiego zajmie się choćby część pewna miejscowej inteligencji polskiej, choćby najbardziej przejętej duchem t. zw. „krajowości“, nie jest wskazane. Sam p. A. Nowina zdaje się nie żywić pod tym względem żadnych złudzeń. Inteligencja polska na Litwie i Białorusi nie jest bynajmniej czemś w rodzaju „zniezczonej“ szlachty czeskiej, co „ocknąwszy się“ przyłożyła mocno ręki do odrodzenia się narodu czeskiego. Przeto też wysoce kulturalna inteligencja, która ruchowi białoruskiemu dać może zarówno wielki rozpęd jak... przyszłość, powinna wyłonić się z samego ludu wiejskiego białoruskiego. Nie wyrasta taka warstwa społeczna, jak grzyby po deszczu.

Ale to już bardziej rzecz ruchu białoruskiego, niż nasza. Jak sobie pościele, tak się wyśpi“.

Zdaje się wszakże, iż sprawy tak stawiać nie należy. Zawczasu winniśmy zająć określone stanowisko względem procesu powstawania inteligencji białoruskiej. Ruch ten bowiem pościele; ale nietylko jemu, lecz i nam również na owem posłaniu później spać wypadnie.

— „Gazeta Warszawska“, urzędowy organ Demokracji Narodowej, zapowiada już, pod jakim sztandarem stronnictwo to ruszy do walki wyborczej. Hasłem jego, jak za kampanji poprzednich, pozostanie—straszenie mas niebezpieczeństwem żydowskiem.

„Jasną jest bowiem rzeczą—i prasa żydowska nie robi pod tym względem tajemnicy—że żydzi wyteżą wszystkie siły, by w wyborach ze stolicy kraju odegrać rolę czynnika decydującego, celem przeprowadzenia jeśli nie posta własnego, to przynajmniej takiego polaka, który pośrednio lub bezpośrednio interesom żydów służyć będzie. Dyktuje żydom to stanowisko zarówno ambicja, której poehlebiały fakt wyboru posta ze stolicy Polski przez żydów, jak i dobrze zrozumiany interes własny, który wskazuje, że jeden więcej w Kole Polskiem poseł, który zajmowałby pożądaną dla żydów stanowisko, zwłaszcza, jeśli by poseł ten nie liczył się zbytnio z zasadą solidarności Koła Polskiego, mógłby być bardzo pożądanym dla żydów nabytkiem“.

„Gazeta“ gniewa się na pisma polskie, cieszące się w Warszawie największą poczytnością iż,

„albo zbywają nadchodzące wybory zupełnym niemal milezeniem, albo też zadawalniają się „kpiarstwem“ politycznym, dowodząc, że nie społeczeństwu polskiemu zależeć nie może na wyniku wyborów do Dumy“.

Widać reklama „S'owa“ i „Gaz. Warsz.“, czyżniona sukcesom Koła Polskiego, nie na wiele się zdała.

— Polemizując z „Gazetą Warszawską“, p. B. Nawroczyński w „Tygodniku Polskim“ wypowiada kilka bardzo słusznych uwag.

„Realizm w polityce“ — czytamy tam — „nie jest określeniem metody postępowania politycznego, ale określeniem jego charakteru. Polityka ugodowa może być realną, ale może też nią nie być, może być właśnie polityką frazesu. Frazesem będzie zarówno zapowiedź walki, do której niema ani sił, ani istotnej chęci, jak i oświadczenie lojalności, nikomu na nie nie potrzebne i przez nikogo nie cenione, gdy pochodzi ze strony uważanej za bezsilną... Polityka, która nie uzyskując żadnych ustępstw, prowadzi do obniżenia ogólnego stanowiska narodowego, do wewnętrznego zamętu myślowego i rozwoju oportunistów w społeczeństwie, jest polityką najmniej realną“.

Prawdy tej wszakże nie rozumieją chyba nigdy ci nasi „wytrawni“ politycy, którym się zdaje, że dobry jest każdy okrucuch, spadły przy uprzążaniu stołu pańskiego, jeżeli w danych warunkach nie więcej „zdobyć“ nie można.

## Głosy rosyjskie.

### Obrazek przedwyborczy.

W „Dwinsk. Listku“ p. *Re—fleks* zamieszcza charakterystyczny interwiew z przeciętnym wyborcą, właścicielem niewielkiej realności.

— Cóż, kochany Piotrze Pawłowiczu, kogoż wybierać będziemy?

— Alboż w zarządzie mieszczańskim znowu się co popsulo?

— Nie, nie o wyborze starosty mówię. To głupstwo. Pytam o wybory do Dumy Państwowej.

— O, to to dopiero, podług mnie, prawdziwe głupstwo. Ja tam nie pojedę... Zaprzeszłego razu jakim wpadł do tego piekła, to prawie całą noc trzymali — małom się nie udusił. Dotąd nawet nie wiem, kogo wybrałem... Ostatnio lepiej mi się udało: przychodzę — 5 minut przed 12-tą, a tu już zamknięte, nikogo nie puszczają. Ot, stawili zegar po kolejowemu i pospieszili się o kwadrans. No i chwała Bogu; przynajmniej zdążyłem przekąsić i zdrzemnąć się do pociągu. Ale poco wydawałem na drogę? Dość mam i tak, jako przysięgły w sądzie — rzucaj wszystko, jedź, giń na cały tydzień i słuchaj rozmaitych paskudstw. Człowiek wraca zmordowany, rozbity, a w dodatku jeszcze ci ze 20 rubli pęknie i z sumieniem jesteś nie w porządku. Bo kto ich tam wie, który winien, a który ma rację?... Ale cóż, niema rady — nie pojedziesz — kara. Tu przynajmniej karać nie przyszło im jeszcze do głowy. To też chyba byłbym durniem, wlec się po próżnicy.

— Ależ obowiązek społeczny.

— Jaki znów obowiązek! Podatki płacić — ot, obowiązek. A pozatem, chwała Bogu, że dają siedzieć spokojnie. Zresztą po licho ta Duma?

Przez pięć lat co wymyślili? Akcyzę od gilz i nic więcej.

— Przepraszam. Mimo braków prawa wyborczego, mimo osławionej samowoli administracji, społeczeństwo otrzymało jednak niejaką możność wypowiedzenia się. Jeżeli więc posłami zostaną ludzie nieodpowiedni — społeczeństwo samo będzie temu winne.

— Społeczeństwo? Jakie znów społeczeństwo? Ot, ja znam pana, pan znasz mnie, my obaj znamy jeszcze jakie sto osób, o których wiemy rozmaite rzeczy, tylko nie wiemy, jakie są ich przekonania polityczne. Bo ktoby się dziś z przekonaniem zdradzał? A wobec tego, kogo mi pan każesz wybierać, jeżeli każdy z nas wygląda na bardziej lewego od „kadeta“ i bardziej prawego od „październikowca“? Na siebie samego głosować, czy co?

— Zbyt pesymistyczne zapatrywanie. Przyszła Duma, pomimo wszystko, może jeszcze urzeczywistnić nadzieje. Przedwczesne składanie broni...

— A dajże mi pan spokój z tą Dumą.

Pomyślałem, że nietylko w praktyce, w czynach swych zdyskredytowało się nasze przedstawicielstwo narodowe, ale nawet sam jego sens, sama idea spaczona została, wykoszlawiona. Wreszcie, jakąż może być reprezentacja przy panującym systemie?

Uściskałem dłoń Piotra Pawłowicza i rozeszliśmy się każdy w swoją stronę.

### Sprawy uniwersyteckie.

„Pan Kasso nie ceremonjuje się z uniwersytetami rosyjskimi — piszą „Russkija Wiedomosti“. Jest to wiadome oddawna, lecz mimo to znajdują się optymiści, wierzący w to, że bezceremonjalność p. Kasso ma swoje granice; zapewniano, że wskazywano p. Kasso stanowczo na przykre wrażenie, wywołane polityką uniwersytecką nawet w najbardziej umiarkowanych kołach społeczeństwa rosyjskiego. Takie, jak mówią, miały być uwagi, wychodzące z koł bardzo odpowiedzialnych Rzeczywistość wskazała jednak, że ministerjum oświaty nie jest skłonne do brania pod uwagę wskazówek, opartych na formalnym aurytecie. Nie licząc się z najelementarniejszymi zasadami wyższej polityki, p. Kasso mianuje w dalszym ciągu swoich kandydatów na wakujące katedry. Jaskrawym przykładem tego jest obsadzenie katedr filozofji prawa i prawa handlowego w uniwersytecie petersburskim. Sam Kasso polecił uniwersytetowi przedstawić mu kandydatów na te katedry, a gdy to uczyniono, minister, ignorując opinię kolegów profesorów, mianował inne osoby. Lecz może fakultet prawny uniwersytetu petersburskiego polecał takie osoby, których minister nie mógł zatwierdzić ze względu na nieodpowiedzialność ich wobec prawa, lub dla innych, nie mniej ważnych powodów? Istnienie tego rodzaju przypuszczeń jest w danym wypadku zupełnie wyłączone: pp.: Taranowskij i Gordon, wybrani przez fakultet jurydyczny, są profesorami jeden w uniwersytecie dorpackim, drugi w charkowskim, co uczyni zadość ich kandydaturom ze strony formalnej. Najciekawsze z tego, że niedawno sam p. Kasso proponował pp.: Taranowskiemu i Gordonowi objęcie w uniwersytecie petersburskim tych właśnie katedr, na które poleceni byli oni obecnie przez fakultet. Dlaczego więc kandydaci, wskazani przez samego ministra, oka-

zali się nieodpowiednimi, gdy wybrani zostali przez kolegum profesorskie? Czy to nie kara na profesorów Taranowskiego i Gordona za to, że nie weszli oni do uniwersytetu petersburskiego na propozycję ministerjum? Jeżeli p. Kasso potrzebni są sami Udincewowie, to lepiej nie zwracać się o polecenie kandydatów do fakultetów uniwersyteckich, lecz poprostu brać ich ze szkoły prawdziwie rosyjskich uczonych — uniwersytetu noworosyjskiego“.

## Francuzi o Rosji.

Polityka rosyjska względem Polaków coraz większe we Francji budzi niezadowolenie, a nawet niepokój. Rzecz prosta, iż Francuzom nie idzie tu bynajmniej o naszą skórę, lecz o coś zupełnie innego. W polityce tej widzą oni zależność Rosji od Niemiec, jako też niebezpieczeństwo rozwinięcia na kresach zachodnich zbyt mocnych sympatji względem Austrii, co trójprzymierze postarałoby się w chwili stosownej wykorzystać.

Po niedawnej krytyce „Opinion“, wystąpiła znów we wspomnianej kwestji „La Revue Politique et Parlementaire“, której zgola nie podobają się tryumfy nacjonalizmu III Dumi. „La Revue“ zwraca uwagę, że w ten sposób prowadzone jednoczenie państwa ma skutek wręcz przeciwny: rozwija bowiem tylko skłonności separatystyczne kresów.

Autor artykułu, p. Pierre Chasles, twierdzi — nie wiadomo, na jakiej podstawie — jakoby w granicach Królestwa rząd zrezygnował z zakusów rosyfikacyjnych. Uważa tylko, iż rezygnacja ta nie dość wyraźnie się ujawnia.

„Ministerjum i Duma obiecały Polakom samorząd miejski i prowincjonalny, ale wzbraniając się rozwinąć zasadę decentralizacji do właściwych granic autonomji, nie chcą słyszeć nawet (!) o Sejmie polskim z ograniczoną kompetencją, jak w Galicji... Mimo to wszystko, sprawa polska, w granicach Królestwa nie przedstawia się jeszcze rozpaczliwie. Lecz niestety, z innej strony przedstawia znów tyle zawikłań i trudności, że narazie przynajmniej wydać się musi nierozwiązalną“.

Autor czyni tu aluzję do zatargów narodowościowych na Litwie i Rusi. System kurji narodowościowych, stworzony przez Stołypina w roku 1911 w celu wyparcia Polaków z Rady Państwa bez obniżenia cenzusu wyborczego — nazywa Pierre Chasles jedynym w swoim rodzaju dziwołagiem.

Zauważa też autor, że w Radzie Państwa pp. Kowalewski i Witte powstałi energicznie na to ówiartowanie ciała wyborczego wespół z jątżeniem antagonizmów plemiennych. Przechodząc następnie do sprawy chełmskiej, powiada:

„Niedość mając smutnych tryumfów w pasie mieszanym polsko-rosyjskim, nacjonałiści chcą rozszerzyć ów pas kosztem właściwej Polski... Kwestje rasowe łączą się tu ze sprawa wyznaniową. Prawodawstwo rosyjskie utożsamia Polaków z katolikami. Otóż, od czasu ukazu o tolerancji z r. 1905, sporo Rusinów przeszło z prawosławja z powrotem na łono „unji“. W oczach rosyjskich szowinistów tem samym już się oni spolonizowali. Trzeba więc wpędzić ich znów w prawosławie — i do tego służy właśnie projekt wyodrąbnienia Chełmszczyzny“.

Jak widać „Revue Politique et Parlementaire“ kładzie właściwy nacisk na rolę, jaką na ziemi chełmskiej gra wiekowy zatarg Rzymu z Byzancjum.

Walka dwóch Kościołów bezpośrednio na razie daje się we znaki Polakom, których interes narodowy polityka rosyjska (i nie tylko ona) utożsamia z interesem papieskim. Ale i Rosji naganka antypolska nie przynosi ani chluby, ani pożytku.

„Polakożerstwo — kończy „La Revue Politique et Parlementaire“ — jest nie tylko krzywdzące: jest nadto wybitnie niepolityczne. Zadało ono cios śmiertelny neosławizmowi, który zamierzał skupić ludy siołwiańskie dokoła wspólnej obrony przed zachłannością niemiecką“.

Wogóle, zauważyć się daje od pewnego czasu we Francji wzrost krytycyzmu w stosunku do czynów i giestów północnego sprzymierzeńca, którego witano dotąd nad Sekwaną głośnym aplauzem albo milczeniem, pełnym respektu.

## Korespondencje.

### Mińsk.

Wbrew przewidywaniom, ogłoszono już listy wyborcze m. Mińska oraz powiatu. Wszystkich prawyborców jest 10,126 osób.

W kurji pierwszej jest 1893 osoby: Polaków 263, Rosjan 351, Żydów 1251 i 28 innych narodowości.

W kurji II będzie 8233 prawyborców; 3494 Rosjan oraz Polaków łącznie z Żydami 4739.

Dotąd większe zainteresowanie sprawami wyborczymi nie daje się zauważyć; wciąż idziemy z pewną ospałością, co zresztą na całym obszarze państwa się powtarza.

\* \* \*

Zauważyć warto charakterystyczną uwagę „Now. Wremia“ o naszych lojalnych obywatelach nie tyle kraju, ile państwa.

W korespondencji z Mińska wytyka Polakom (ks. Radziwiłł, Z. Skirmuntt), że wnoszą cerkwie prawosławne swoim kosztem w swych dobrach jedynie, by móc zaświadczyć przy sposobności swą lojalność.

Zdaniem „Now. Wr.“ jest to podstęp, gdyż w rzeczywistości wszyscy Polacy są wrogami państwa.

Okazuje się, że zbyt nia pohopność do manifestowania swoich uczuć nawet przez „N. Wr.“ jest źle oceniana.

\* \* \*

Kłęską nieustanną naszego kraju są pożary, a zwłaszcza pożary miasteczek. W ostatnich czasach dzień każdy przynosi wieść o strasznej kłęsce, jaka nawiadziła to lub owo miasteczko. Spalił się Stolin, gdzie przeszło 100 domów zgorzało, spalił się parę miasteczek w Mohylowszczyźnie, spalił się Połock, gdzie kłęska przybrała najstraszniejsze rozmiary, gdyż straty wynoszą przeszło 2 miliony rubli! Wszędzie przy pożarach dopiero daje się zauważyć niedołęstwo samopomocy: straż ogniove ochotnicze jeśli i są, to narzędzia mają tak marne, że te nie funkcjonują właśnie wtedy, kiedy potrzeba.

Pożar w zarodku dałoby się umiejscowić i katastrofa nie przybrałaby może takich rozmiarów, gdyby dbano o organizację samopomocy, gdyby one znajdowały szerokie poparcie zarówno wśród mieszkańców, jak i władz. W Połocku, jak piszą gazety, „węże ciągle pękały, a rzeka Połotka wyczerpana została do dna“. Rok rocznie pożary takie powtarzają się, a my ciągle jeszcze nie przychodzimy do przekonania, że *sami sobie* najwięcej pomóc możemy we wszystkich dziedzinach życia.

Uczą nas jednak zwykle wielkie klęski lub nieszczęścia zapóźno!

Leszek Czarny.

## NA WIDNOKRĘGU.

Już się niepokoiili politycy dziennikarscy wizytą w porcie Bałtyckim, już zapowiadali kapitalną sojuszów restaurację, gdy oto pokazuje się, że do całej tej wrzawy powodu nie było.

Wszystko w porządku.

Był na Bałtyku „Hohenzollern“, wiwatował — odjechał. Przyjechał krążownik „Condé“ z p. Poincarem na pokładzie i — niemniej było pogodnie. Nawet, by wszelkie chmury rozproszyć, u wejścia do rosyjskiego morza flota niemiecka dała 21 strzałów. Strzały te poddano nawet bardzo mizalnym, głębokim komentarzom. Bo 21 takich huków urządziła się tylko głowom koronowanych. A tu jechał tylko prezes ministrów i to w dodatku — gabinetu, w którym siedzi p. Delcassé zgrzyliwy.

Zatem pokazuje się, że sympatje rosyjsko-niemieckie wcale nie przeszkadzają przyjaźni rosyjsko-francuskiej. Węzły tej ostatniej nawet obecnie zacieśnione zostały. Wraz z przybyciem p. Poincaré'go do Petersburga, podpisana została konwencja morska aljantów.

Daje ona nowy temat do artykułów politycznych. — Konwencja? — pytają. — A czyż Rosja przedstawia siłę morską? Jeśli jeszcze ma statki, zdolne do walki, to tylko na morzu Czarnem. Lecz cóż po nich, gdy morze to zamykają Dardanale...

Stąd wnioski dalsze: konwencja dąży do otwarcia cieśniny, zaryglowanej traktatem paryskim. Klauzula ta, wielce uwłaczająca stanowisku Rosji, jest od szeregu lat przez dyplomację petersburską szturmowana. Ale cóż! Nigdy w koncercie mocarstw nie można było znaleźć większości dla poparcia dążeń rosyjskich. To opierały im się Anglja i Francja, to znów Niemcy i Austrja, przyczem niejednokrotnie wszystkie mocarstwa zgodnie domagały się zachowania *status quo*.

Dziś domyślać się można, że Francja oraz jej przyjaciółka z za kanału nieby nie miały przeciw twarciu Dardaneli. Głosowałyby również za tem Włochy. Ale Niemcy, mające względem Austrji zobowiązania i usiłujące patronować Turcji, postawiłyby chyba *veto*, mimo wszelkie czułości bałtyckie.

Sentymenty, dotąd przynajmniej, siłą rzeczy kończyć się muszą na Bałkanach. Toczy się tu gra zbyt poważna, zbyt wiele zahaczająca interesów. To też, choć krzątają się tam wszyscy, każdy zamiary swe tai, robotę maskuje lub przypisuje ją innym.

Podejrzenie to nasuwa, między innymi, zwalanie przez prasę wiedeńską na Rosję inicjatywy rodzącego się przymierza serbsko-bułgarskiego. Rewelacje te sprawiają wrażenie krzyku: „łapaj złodzieja!“ wydawanego przez samego gonionego. Wiele oznak wskazuje, iż najżywiej wśród państw bałkańskich uwija się dziś nie kto inny, jeno właśnie Austrja. Jej komendy słucha car Ferdynand, na nią orłada się i Mikołaj czarnogórski, który o mało nie wziął się z sultanem za czuby.

Wspomniany sojusz serbsko-bułgarski wymierzony jest otwarcie przeciw Turcji. Towarzyszą mu manifestacje, inscenizowane w Sofji na rzecz autonomji Macedonji, której potrzebę przypomniła rzeź w Kaczaniku.

Kłopoty W. Porty mnożą się więc i komplikują. Wojna w Trypolisie, powstanie w Albanji, wrzenie w Macedonji, przesilenie ministerjalne, parlamentarne, wrogie ze strony sąsiadów demonstracje i — co najprzykrzejsze — zapowiedź „przyjaznego oddziaływania“ mocarstw na rzecz pokoju.

Wszystko to uczyniło ciężar, pod którym zawaliły się wpływy młodoturków. Do głosu przyszła liga oficerska, wsparta na rokoszaniach albańskich. Czy naprawi błędy młodoturków? Czy potrafi, a jeżeli potrafi — czy zdąży?

Oto pytania, które zadają sobie dziś kronikarze polityki międzynarodowej, już od dłuższego czasu przepowiadający państwu otomańskiemu ostatnią godzinę.

Pamiętać jednak trzeba, że ta godzina ostatnia byłaby dla wielu spraw i kwestji pierwszą. A owych spraw i kwestji boi się Europa. Więc też dyplomacja wyteża całą sztukę, by, pośpiesznie dyskонтując drobniejsze weksle, większe z nich dalej prolongować.

Dlatego też groźne zapowiedzi rozbioru Turcji mogą się okazać znów tylko — sensacją ogórkową.

---

**Osobiste.** Kierownik naszego pisma p. L. Abramowicz powrócił do Wilna.

---

## KRONIKA.

### — Emancypacja socjalistów polskich

Podług informacji pism niemieckich, pisze „Dziennik Poznański“, dokonał się w tych dniach rozdział pomiędzy socjalistami polskimi a niemieckimi na Górnym Śląsku. Zarząd niemieckiej socjalnej demokracji cofnął subwencję, udzielaną dotąd „Gazecie Robotniczej“. Subwencja ta wynosiła podobno od 15 do 20 tys. marek rocznie. Polscy socjaliści na Górnym Śląsku zamierzają jednak nie tylko wydawać w dalszym ciągu „Gazetę Robotniczą“, ale nawet zamienić ją na pismo codzienne.

### — Watykan i Rosja.

Z Rzymu donoszą do „Russkiego Słowa“, że rząd rosyjski złożył Watykanowi memorjał, w którym duchowieństwu katolickiemu w państwie rosyjskiem postawiony został zarzut wyteżonej propagandy, nawrócenia na katolicyzm prawie pół miliona prawosławnych i popierania polskiego żywiołu wojującego. Memorjał dowodzi, że ukaz tolerancyjny nie daje misjonarzom katolickim wcale prawa nawracania. Watykan, z swej strony, obstaje przy tem, że propaganda duchowieństwa katolickiego jest prawnie zupełnie uzasadniona. Misja pojednawcza Nelidowa zakończyła się widocznie zupełnym niepowodzeniem. W kołach watykańskich mówią o możliwości zerwania stosunków dyplomatycznych z Rosją.

### — O prawa kobiet szwedzkich.

Szwedki umieją walczyć o swoje prawa. Umiały też zdobyć sobie liczne zastępy zwolenników ich równouprawnienia politycznego, a rząd w bieżącej sesji wniósł projekt ustawy o prawie wyborczym kobiet do parlamentu. Obecnie donoszą, że pierwsza Izba odrzuciła projekt ten po dłuższej dyskusji 86 głosami przeciw 58. Natomiast druga Izba przyjęła go 140 głosami przeciw 66. Ustawa zatem i tym razem nie przyszła do skutku. Ale sam fakt dyskusji nad nią w Izbie wyższej, oraz tak znaczna, większość głosów przychylnych w niższej, jest dowodem, że równouprawnienie kobiet w Szwecji w najbliższym czasie będzie faktem dokonany.

### — Nieporozumienie „choleryczne“.

„Dwinsk. Listok“ podaje ciekawy bardzo fakt. Oto pokazuje się, że choć w Witebsku dwadzieścia kilka osób złożono w baraku cholerycznym — cholery dotąd wcale tam nie było. Zaprzeczył istnieniu epidemii docent żeńskiego instytutu medycznego w Petersburgu, dr. Kufesza, specjalnie do Witebska delegowany. Celem stwierdzenia, kto ma rację: dr. Kufesza, czy też lekarze witebscy, wydzielinę chorych posłano dla analizy do Petersburga, Moskwy i zagranicę.

### — Reformy w muzeum Raperswilem.

Zjazd rady muzealnej, pospołu z delegatami kraju, doprowadził nareszcie do wdrożenia oddawna pożądanego reform. Do najważniejszych z pośród zapadłych uchwał należy postanowienie, by na przyszłość niedopuszczalną była kumulacja urzędów Rady i urzędników muzeum. Dotąd prezes Rady, p. Gałęzowski, był jednocześnie dyrektorem muzeum. Odtąd 2 te stanowiska będą rozdzielone. Wkrótce też ma być ogłoszony konkurs na posadę dyrektora, którą obejmie niewątpliwie jakiś człowiek pod każdym względem odpowiedni.

Dotychczasowy kustosz pozostaje w muzeum, ale — unieszkodliwiony przez kompetentnego dyrektora na miejsce. Ponad Radą stać ma odtąd zjazd członków Muzeum, do którego wchodzi fundatorzy, członkowie wieczyści, honorowi i korespondenci. W zjeździe owym zasiadać będą przedstawiciele pięciu miast: Warszawy, Krakowa, Lwowa, Poznania i Wilna.

### — Z klasztoru Jasnogórskiego.

Przed kilku tygodniami przeor klasztoru Jasnogórskiego postanowił jak wiadomo, relegować z klasztoru pięciu kleryków, uznając, iż nie mają powołania do stanu duchownego. Pomimo, że zarządzenie to zostało zatwierdzone przez wizytatora klasztoru i przez władzę biskupią, relegowani ustąpić z klasztoru dobrowolnie nie chcieli. Sprawa oparła się o władze świeckie. Nadeszło wreszcie rozporządzenie ministerjum spraw wewnętrznych co do usunięcia z klasztoru relegowanych pięciu kleryków. Równocześnie jednak z tem rozporządzeniem nadszedł inny jeszcze rozkaz. Oto nakazano o Piusowi Przeździeckiemu opuścić klasztor i obrać sobie miejsce pobytu w Cesarstwie lub zagranicą.

### — Przed wyborami.

Ministerjum spraw wewnętrznych jest szczegółowo informowane przez gubernatorów o nastroju wyborców i o tem jak zachowuje się wobec wyborów ludność. Równocześnie nadsyłane są odpowiednie instrukcje, a w niektórych wypadkach gubernatorzy powoływani są do Petersburga. Ministerjum otrzymało już informacje o wszystkich wychodzących na prowincji pismach i ich kierunku. Większość wydawnictw zdaniem gubernatorów, ma kierunek postępowy. „Prawicowych“ pism jest mało. W Odesie, Ekaterynosławiu, Tyflisie, Charkowie i Tomsku podobno powstaną pisma, subsydjowane przez rząd.

### — Subwencja dla „Wil. Wiestnika“.

Pisma moskiewskie i pete. sburskie podają następującą wiadomość:

„W. W. Tieplow zwrócił się z prośbą o udzielenie mu subwencji w wysokości 10 tys. rubli, niezbędnych jakoby na pomyślnie zaszczepienie nacjonalizmu w gubernacji wileńskiej i dla podniesienia znaczenia jego pisma“.

Podobno starania p. Tieplowa spotkały się z przychylną opinią ministra spraw wewnętrznych, Makarowa.

### — Język małoruski.

Ministerjum spraw wewnętrznych poleciło gubernatorom kraju południowo-zachodniego zakomunikować ministerjum o wszystkich, znajdujących się w tych gubernacjach, bibliotekach w języku małoruskim, małoruskich pismach ludowych,

oraz instytucjach społecznych, oświatowych i kredytowych, w których językiem domowym jest język małoruski.

### — Wyjaśnienie prasowe.

Zarząd główny do spraw prasowych rozesłał do gubernatorów okólnik z wyjaśnieniem, w jaki sposób traktować należy przedrukowywanie w wydawnictwach perjodycznych sprawozdania stenograficzne z Dumy Państwowej w takim razie, gdy treść ich jest występna i karalna kryminalnie. Zarząd główny wyjaśnił, że zgodnie z postanowieniem Senatu z dnia 11 stycznia 1908 roku, sprawozdania stenograficzne, ogłaszane na zasadzie art. 45 ust. o Dumie Państwowej i zaaprobowane przez prezesa Dumy mogą być drukowane i ogłaszane w całości. O ileby jednak do tych sprawozdań, ogłaszanych w jakimkolwiek celu, wprowadzane były zmiany ilościowe lub jakościowe, w zmienionej ich formie znalazłaby się treść występna przez prawo karana, to traktować należy je, jako przestępstwo zupełnie samodzielne, niezależne od działalności członków Dumy.

## Treść numeru.

Nasz stosunek z Zachodem. — B. H.

Po wyborach belgijskich. — St. Posnera.

Nastroje zachodu. — R.

W obronie szlachty. — W. Szukiewicza.

Metodyka krytyki literackiej. — E. Czekalskiej.

Z książki ciszy. — J. St. Wierzbickiego.

Przeгляд piśmienniczy — W. G.

Prasa polska. Głosy rosyjskie. Korespondencje.

Na widnokręgu. Kronika.

Odcinek: „Marja Magdalena“ — G. Daniłowski.

## Czytelnia E. Żukowskiej

Wilno, Skwer Ś-to Jerski 3, m. 5.

Otwarta jest codziennie od godziny 11-ej do 7-ej  
prócz niedziel i świąt.

## Drukarnia i Introligatornia

# „ZNICZ“

Wilno, Ś-to Jańska 19.

Tel. 588.

Wykonywa wszelkie roboty w zakresie drukarstwa i introligatorstwa wchodzące.

Ceny umiarkowane.

## Potrzebny

zdolny akwizytor do Biura Asekuracyjnego w Mińsku Lit. na gub. Mińską Mohylowską i Witebską na stałą dobrą pensję i prowizję. Pierwszeństwo mają obeznani z działem ubezpieczeń życiowych.

Zgłoszenia nadsyłać: Mińsk Lit.  
Sierpuchowska 8.  
Biuro Asekuracyjne.

Żądajcie wszędzie „ODOBRIN“

tylko MICHAŁA LEBIEDIEWA.

Tępi odciski



i brodawki z krogulcem

## Informator Handlowy.

**BIURO PRZEPISYWAŃ**  
A. Skarzyńskiej

Wilno, Tatarska 12. Telefon 1002.  
POŚPIECH I DOKŁADNOŚĆ.

SZEW C

**T. KRZYŻANOWSKI**

Wilno, Bonifraterska (Preobraż.) № 8.  
Obuwie gotowe i na obstalunek.

**St. Stefanowski**

i **J. Marciniak**

Pracownia kostjumów, okryć oraz futer damskich

Wilno, ulica Wielka № 20a.

**KSIĘGARNIA**

**KULTURA** Wilno,  
Dominikańska 14.

PRENUMERATA PISM.

Wszelkie nowości.

- a) Najtańsze taryfy. Nieumarzalność polis.  
b) Drobnie ubezpieczenia od 100 rb.  
c) Oplata premji miesięczna.

Ubezpieczenia rent,  
posagów,  
kapitałów,



PIERWSZE KRAJOWE T-wo UBEZPIECZEŃ  
„PRZEZORNOSC“  
UBEZPIECZEŃ NA ŻYCIE I OD NASTĘPSTW WYPADKÓW.



Kapitał zakładowy  
i rezerwowy  
7.000.000 rb.

Zarząd Okręgu Mińskiego:  
Mińsk Lit., Sierpuchowska 8.

Ajentyury we wszystkich miastach. Taryfy i prospekty  
na żądanie — bezpłatnie.

## GIMNAZJUM ŻEŃSKIE

z prawami zakładów rządowych dla uczennic i pensjonat

**Emilji Lichtarowiczówny**

Ryga, Elisabeth Str. 14-a, róg Suworowskiej.

Początek zajęć i egzaminy wstępne do wszystkich klas z wyjątkiem 6 i 7 —  
20 sierpnia st. st. Otwiera się klasa 8.

Stosownie do rozporządzenia Ministeryum Handlu i Przemysłu, aby na etykietach strony medali nie były umieszczone oddzielne obok siebie, a zachodziły krążkami jedna na drugą odtąd opatrujemy nasze wyroby etykietą, zmienioną o tyle że krążki medalu górnego zachodzą jeden na drugi.

Wobec nieporozumień, jakie wywołała zmiana na naszej etykiecie wśród kupujących, podajemy powyższe objaśnienie do wiadomości Szanownej Klienteli, polecając nadal nasze wyroby.

Z poważaniem

**Ferd. Bohm & Co**

PAROWA FABRYKA CYKORYI

egzystująca od 1816 roku.

**TRYPPE** HONORRHEĘ, RZEŻĄCZKĘ i UPŁAWY  
w OSTRYM i CHRONICZNYM OKRESIE

szybko i radykalnie usuwa całkiem nieszkodliwy środek (dla użytku wewnętrznego)

„**TIELERIN**“

Doktora medycyny uniwersytetu gienewskiego E. Gorochofskiej

Cena zwykłej flaszki (na 10 dni)—1 rb. 75 k. i podwójnej —3 rb. bez przesyłki.  
Szczegółowy przepis przy flaszce. Ekspedycja za zaliczeniem pocztowym.

Adres: Дру мед. Э. М. Гороховской, Москва, Срѣтенка, Давѣ пер. б. 1-28, кв. 3.

Dostępna dla każdego możność  
zakupienia działki gruntu

w najlepszej dzielnicy Wilna, w „Zwierzyniecu“. Miejscowość ładna i zdrowa: stary las sosnowy, rzeka Wilja. Ceny niskie, warunki dogodne na raty długoterminowe. Szczególniej dogodne i tanie są działki gruntu nad rzeką.

Zwracać się należy do biura parcelacyjnego: Wilno „Zwierzyniec“. Ul. Giedymynowska 32. Telefon № 46.